Nr. 21 Poznań, Niedziela dnia 21 maja 1911. Rok XV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 20 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy	czteroraz. (miesięczn.)	„	15%
„	kwartalnem 13 ×	„	25%
„	półrocznem 26 ×	„	33⅓%
„	rocznem 52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 67.

Na Zjazd Sokoli

materyał na ubiory sokolskie litewkowe w kolorze szarym **wedle przepisu** 147

poleca Panom Kupcom i Magazynom Garderoby

Firma **Otto Hempels Wwe w Greiz**

Fabryka koatingów — kamgarnów i szewiotów

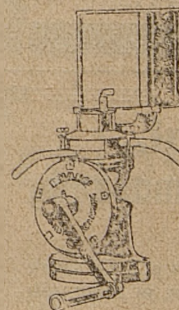
Nowości sezonowe.

Zastępca **A. KOSIDOWSKI w Poznaniu** (Posen O. 1. Halbdorfstr. 19).

„Westa“, Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na Życie w Poznaniu.

AKTYWA. **Bilans za rok obrachunkowy 1910.** PASYWA.

Sola-Weksle	198 450	—	Fundusz zakładowy	105 903	28
Kamienica własna	357 932	09	Fundusz rezerwowy	32 394	07
Pożyczki na hipoteki	2 786 790	—	Inne rezerwy	214 477	40
Papiery wartościowe i pożyczki na papiery wartościowe	212 139	10	Rezerwa składkowa i składki przeniesione	3 938 043	31
Pożyczki na polisy	573 160	56	Kaucye agentów w gotówce złożone	3 805	—
Salda u agentów	72 024	59	Inne pasywa	249 333	91
Rezerwa w reasekuracyi	97 227	03	Zysk	71 986	39
Prolongowane raty składek i zaległe procenta	195 697	92			
Gotówka w kasie	104 539	76			
Ruchomości, druki i godła	13 796	29			
Inne aktywa	4 476	02			
	4 615 943	36	158	4 615 943	36



Najnowsze, niezrównanej konstrukcyi, **ręczne separatory** (centryfugi) 115

Balance i Domo

Masielnice i wygniatacze do masła rozmaitej konstrukcyi i **chłodniki do mleka, nowej konicznej konstrukcyi,** jako też **wszelkiego rodzaju machiny rolnicze,** poleca po bardzo przystępnych cenach 115

A. Bryliński w Poznaniu.

Kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu

przy ulicy Rycerskiej Nr. 14.

Wielkie składy machin i części zapasowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw.

Adres do listów: **A. Bryliński Poznań-Posen.**
Adres do telegr.: **A. Bryliński Posen.**

Telefon Nr. 69.



Bezpłatna
Pomoc dla gospodarzy

kto chce brać udział w pożyczce po $3\frac{1}{2}\%$ z amortyzacyą lub stósownie podług umowy.

Bank nasz spłaca wszystkie ciężary i hipoteki przyjmuje na siebie W razie potrzeby udziela zaraz naprzód zaliczek.

E. B. Adamkiewicz i Spółka Poznań

Posen, Kronprinzenstrasse 12. 68

Kto chce się żenić??







Kto chce wiele pieniędzy zaoszczędzić, niech zaraz zamówi katalog Strzeleckiego, który darmo odbierze. W żadnej fabryce na świecie nie kupi pan tak tanio **obrączek ślubnych, podarków zaręczynowych, zegarków, harmonik, fonografów, kołowców,** jak u Strzeleckiego. Zegarek kupiony u Strzeleckiego odbierze Pan ze swoją własną fotografią lub na życzenie z portretem siostry, ojca, matki lub narzeczonej.

Adres: **J. Strzelecki, Mogilno** (Posen.)

Krzyże ❀ Pomniki ❀ Nagrobki

poleca po cenach nizkich 161

B. Gmurowski

zakład kamieniarsko - rzeźbiarski

Tel. 2199. **Poznań, ul. Bukowska 5.** **Tel. 2199.**



MEBLE! MEBLE!

Całe pokoje sypialne, mieszkalne, jadalne, salony, pokoje do pracy

☛ **po cenach najniższych** ☚

127 poleca

S. Krąkowski, Poznań

ulica Podgórna 8.

Wyższa szkoła kroju
Zofii Szuman

w Poznaniu,

przy ul. Wilhelmowskiej nr. 19

rozpoczyna nowe kursa 1-go i 15-go co miesiąc.

Kursa oddzielne dla osób fachowych, **oddzielne** dla uczących się do własnego użytku. 246

Nr. 21. Poznań, dnia 21 maja 1911 r. Rok XV

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 36 Telefon Nr. 91 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

O kasy chorych krajowe.



Toczą się obecnie w parlamencie obrady w sprawie ordynacyi ubezpieczeniowej.

Ponieważ sprawy te dotyczą bardzo żywotnych interesów naszej ludności posłowie polscy nader ożywiony biorą udział w odnośnych obradach. Niestety zabiegi te nie odnoszą pożądanego skutku.

Tak rząd i partye prawicowe i centrum obawiają się przemożnych wpływów socyalistów w kasach chorych, przeto starają się zapewnić przeważny wpływ na skład zarządów kas krajowych reprezentacyom związków gminnych. Przepisy odnośne zawierają §§ 343 i 349 ordynacyi zabezpieczeniowej pozbawiające faktycznie robotników rolnych wszelkich wpływów na ukształtowanie się zarządów rzeczonych kas.

Temsamem stają się wymienione wyżej paragrafy przepisami wybitnie antypolskiemi, gdyż wiadomą jest powszechnie rzeczą, że Polacy dzięki przeróżnym kruczkom i kautelom pozbawieni są należnych im wpływów w sejmikach powiatowych, wskutek czego także na skład przyszłych zarządów krajowych kas chorych bardzo niedostateczny tylko wpływ będą mieli. Starczy przypomnieć, że na 40 powiatów W. Księstwa Polacy w 3 tylko sejmikach powiatowych mamy większość, by sobie uprzytomnić jak bezwzględnie zabezpieczona w kasach krajowych ludność polska będzie wydana na łaskę i niełaskę biurokracyi niemieckiej. Reprezentantów robotników zaś w sejmikach nie ma wcale.

Gdyby tych paragrafów i dalszego wykluczającego wolny wybór lekarzy w nowej ordynacyi ubezpieczeniowej nie było, należałoby tę ustawę uznać za walny krok naprzód, za postęp w dziedzinie społecznej. Z chwilą jednak, gdy postęp ten ma być okupiony tak poważnemi ofiarami, należałoby raczej życzyć, by cała ordynacya upadła, gdyż narusza ona zbyt głęboko najelementarniejsze pojęcia sprawiedliwości społecznej, co w praktyce życiowej tylko najgorsze może wydać rezultaty. Trudno inaczej mówić o instytucyi, w której robotnicy mają płacić dwie trzecie składek, a w zamian nie mają otrzymać żadnej absolutnie możności wpływania na administracyę jej i działanie i być pozbawionymi wolnego wyboru lekarza.

Zaznaczyć należy, że losy tej ustawy spoczywają w ręku centrowców. Rozkład sił bowiem w parlamencie jest taki, że partya centrowa stała się w tej sprawie języczkiem u wagi. Jednakże nadzieje robotników zawiedli centrowcy zupełnie. Nasamprzód bowiem nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności za fiasco tej ustawy, gdyż rząd oświadczył kategorycznie, że w razie nieprzyjęcia tych paragrafów całą ustawę odrzucićby musiał. Powtóre liczyli się z własnym partyjnym interesem, który im każe brać wzgląd na chłopów w Bawaryi i ich aspiracye do rządów w kasach krajowych. Potem liczyli się także z konserwatystami, którzy domagają się w kasach krajowych stanowczej przewagi wpływów pracodawców. Nareszcie podzielają i centrowcy rządu i konserwatystów strach przed socyalistami, a zatem nie chcą powiększać i tak już wielkiego ich znaczenia w stosunkach kas chorych.

Wszystkie te względy zniewoliły centrowców do głosowania za owemi paragrafami, wskutek czego one większość w izbie uzyskały. Wzięli zatem centrowcy na siebie z lekkiem czy ciężkiem sercem odpowiedzialność za przejście przepisów nie tylko krzywdzących w wysokim stopniu robotników rolnych, lecz będących nadto dla ludności polskiej istnemi przepisami wyjątkowemi, gdyż wyjątkowe stosunki, w jakich żyjemy, siłą faktu charakter wyjątkowy w praktyce tym przepisom nadadzą. I jakkolwiek formalnie rzecz biorąc zarzucić centrowcom nie podobna, że głosowali za ustawą wyjątkową, ustawa ta przecież obowiązywać ma w całej rzeszy, to jednak faktycznie zarzut ten słusznie ich spotyka, gdyż przekonywujące wywody posłów naszych pozostawić nie mogły u centrowców żadnych wątpliwości, że głosując za rzeczonemi paragrafami głosowali równocześnie za ustawą, która się przeciw robotnikom polskim z bezporównania bardziej wyszlifowanem ostrzem zwróci aniżeli przeciw robotnikom niemieckim. Ci bowiem tylko społecznie będą poszkodowani, podczas gdy u nas do krzywd społecznych przyłączą się jeszcze narodowe.

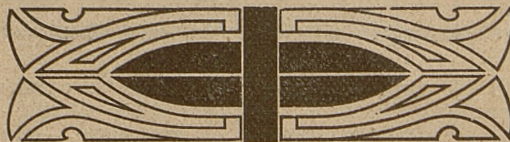
Szkody powstające z uchwalenia przepisów dotyczących wyboru zarządów kas krajowych, aczkolwiek dotkliwe i drażniące, do pewnego stopnia złagodzone by być mogły przez przyznanie członkom kas wolnego wyboru le-

karzy. Lecz — jak już napomknęliśmy — i pod tym względem zawodzi ustawa wszelkie słuszne oczekiwania ludności. Wniosek polski zdążający do prawidłowego uregulowania tej sprawy odrzucono w drugiem czytaniu i nie ma nadziei, żeby trzecie czytanie w tej materyi miało zasadnicze zaprowadzić zmiany, gdyż nie tylko partye rządowe, lecz nawet socyaliści stanęli w tej sprawie w ostrem przeciwieństwie do najistotniejszych interesów zabezpieczonych. Pokazuje się w tym wypadku bardzo jaskrawo obłuda socyalistów, którzy zawsze mają pełne usta frazesów niby to przychylnych robotnikom, a tam, gdzie wchodzą w grę interesa ich kieszeni i władzy, bez zachłyśnięcia głosują przeciw robotnikowi.

Jestto wprost niegodną rzeczą, żeby robotnik za wysokie składki, które do kas płaci, nie tylko był pozbawiony prawa wpływania na ukonstytuowanie się zarządu kas, lecz nadto zmuszony był leczyć się u lekarzy z góry sobie narzuconych, chociażby do ich sztuki żadnego nie miał zaufania. To też Koło polskie w trzeciem czytaniu bardzo energicznie dopominać się będzie o słuszne w tej mierze prawa robotników, a jeżeli, co łatwo być może, starania te nie będą nagrodzone pomyślnym wynikiem, to rozprawy odnośne dadzą posłom naszym pożądaną sposobność po raz niewiedzieć który zedrzeć maskę obłudy z twarzy rozmaitych rzekomych przyjaciół robotnika i objawić ich egoizm i fałsz w całej swej wstrętnej nagości.

Tak to rozmaite względy na sprawy zupełnie po za dziedziną społeczną leżące powodują, że urządzenie, które mogłoby się stać dobrodziejstwem i błogosławieństwem dla szerokich warstw społecznych, od samego początku zepsuto i odebrano mu wszelką wartość istotną.

Grzeszono w tej sprawie ze wszech stron, ze strony rządu i partyj. Jedni usiłowali leczyć niedomagania kas chorych i wylali dziecko razem z wodą wydając instytucyę, która z natury rzeczy powinna być samorządną, w ręce biurokracyi; drudzy w imię interesu partyjnego zdeptali uzasadnione prawa swobody obywatelskiej i czysto ludzkie względy. Nad całą zaś ustawą unosi się ponury duch reakcyi i metod azyatyckich zwalczania politycznych przeciwników za pomocą sztuczek i kruczków administracyjnych. Piwo, które w ten sposób nawarzono, nikomu nie pójdzie na zdrowie. Żałować tylko należy, że cała sprawa skrupi się najwięcej na niewinnych: na robotniku wogóle, a w szczególności na robotniku polskim, który, jak przy wszystkich takich eksperymentach, bity jest podwójnie, raz jako biedak, następnie jako Polak. Lecz taki już jest nasz los w państwie ładu i bojaźni Bożej...



Co to jest narodowość?

„Czem nuty w akordzie, tem narodowości w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości" — mówi Zygmunt Krasiński.

Długi czas chciano negować istnienie narodów na korzyść jednolitego państwa. Francuzi nie mają narodowości, mówił jeszcze Napoleon I.

Przed stu laty, kiedy Fichte wykładał „o narodowości" i pisał swe mowy *„an das deutsche Volk"*, któż mógł przypuszczać, że już wiek XIX będzie wiekiem narodowości, a kto dziś przewidzieć zdoła, jakie niespodzianki kryje dla uciskanych narodów wiek XX?

Już w połowie ubiegłego wieku tej zasadzie „narodowości" zawdzięczają powstanie Grecya oraz dwa wielkie państwa narodowe, Włochy i zjednoczone Niemcy, później w imię narodowości walczą i zwyciężają narody słowiańskie półwyspu Bałkańskiego, powstaje niepodległa Serbia, Bułgarya, Czarnogóra, Rumunia.

Wielonarodowe państwa, jak Austrya, Szwajcarya, Belgia regulują ustawodawczo stosunki prawno-państwowe narodowości do państwa i do innych współnarodowości w państwie. Tylko Niemcy, które obok 4 milionów Polaków liczą jeszcze obce fragmenta innych narodów, Francuzów, Duńczyków, nie chcą uznać ich praw narodowych, i Rosya, która nie zajęła się nawet ustaleniem praw narodowych Polski, Finlandyi i tylu licznych narodów, wchodzących w skład państwa.

I dziś jeszcze nie ustaliła nauka cech narodowości.

Jedno jest tylko pewnem, że najważniejszą cechą narodowości jest wspólność języka i kultury.

„Narodowość jest to ojczyzna ze swoją historyą, ze swemi tradycyami wspólnemi, jest to wspólność duchowa, która wytwarza poświęcenie się wszystkich obywateli dla jednego i jednego za wszystkich", mówi Buchez w swej wielkiej rozprawie o wiedzy społecznej. „Narodowość, to jest wspólność historyczna, posiadanie historyi narodowej", pisze I. St. Mill.

„Narodowość, to połączenie warunków pochodzenia, rasy, obyczajów, geograficznego położenia, historyi, języka", mówi Cochut, który zresztą twierdzi, że wyraz „nationalité" jest bardzo nowej daty, że go wprowadziła pierwsza pani Staël, i że w 1825 wprowadzony został jako neologizm do słownika p. Boiste.

Stara szkoła prawnopolityczna łączyła narodowość z rasą. Nowa szkoła zupełnie to odrzuca.

Już Laurent pisał, że niema ani jednego w Europie narodu, któryby nie posiadał w swem łonie fragmentów innego.

Narodowość, albo obyczaje narodowe, język ojczysty i literatura rodzima, stanowią duchową ojczyznę, są duszą ojczyzny materyalnej. –

Co jest narodowość? pyta K. Libelt. — Jest to pojęcie równie nieokreślone, jak ojczyzna. Narodowością jest wszystko, co do narodu należy.

Tak więc mamy tu pierwsze rozróżnienie i przeciwstawienie narodowości i narodu.

Naród u pisarzy polskich XVI w. odnosił się ściśle do rodu, familii: urzędów naszych ludziom prostego *narodu* dawać nie mamy, ale *szlachcie,* powiedziano w statucie litewskim.

Słowo *naród* przemienione zostało w poprawie zasad rządowych na słowo rzeczpospolita przez rzecz „o ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja". Naród przeto jest tu ogółem, powszechnością wszystkich stanów ludu wiejskiego, miast i szlachty. Narodowość zaś pojęciem jeszcze wyższem.

„Narodowość, powiada Libelt, jest duchowem piętnem, charakterem nieoznaczonym, którym Bóg lud swój nacechował, aby go od innych ludów ku niedoścignionym celom odróżnił."

Zmysłową, zewnętrzną cechą narodowości jest język.

„Wielka skarbnica narodów! gdyby historya zapomnianą została, jeszczeby główne jej wypadki, jej ducha, z językowych świadectw odbudować można" — pisze J. I. Kraszewski.

Wreszcie przyszli Niemcy i, kiedy Bismarck krwią i mieczem budował państwo niemieckie, prof. Mohl napisał definicyę narodowości, która do dziś jeszcze uchodzi za klasyczną w nauce: „Narodowość jest to pewnemu narodowi faktycznie służąca właściwość fizy-

czna i duchowa, różniąca go od innych ludów, uzewnętrzniająca się duchowo w mowie, zewnętrznie w kształcie charakteru obyczajowego, ostatecznie polegająca na wrodzonych i trwałych przymiotach naturalnych, następnie zaś pod wpływem wydarzeń historycznych bliżej bywa urabianą i w szczegółach wykształconą“.

Dla pojęcia narodowości w przedmiotowem znaczeniu potrzebna jest pewna *miara kultury i literatury*, a przedewszystkiem wykształcony, pewny i ustalony język. Tak np. cyganie są niezawodnie szczepem ludzkim, ale w tem znaczeniu nie będą mogli być uważani za *narodowość*.

Wątpliwem jest, czy Ladyni w Tyrolu mogą być zaliczeni do Włochów, ale nie jest wątpliwem, że w tem znaczeniu *narodowości* nie tworzą.

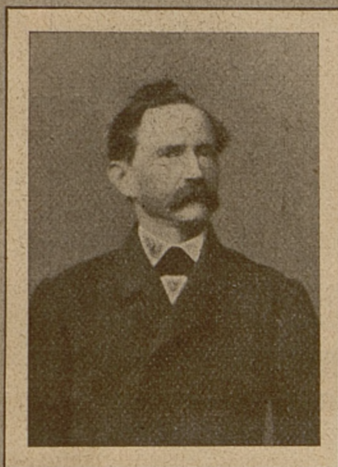
Czy żydzi są narodem? — niezawodnie.

Czy mają te cechy, aby stać się narodowością, jest bardzo wątpliwem.

Dawniejsze przecie narodowości wywodziło się z rasy, z pochodzenia, z rodu; nowsze oznacza wspólność duchowych dóbr, wspólność kultury.

Narodowość w starym sensie bywa każdemu z góry narzuconą, narodowość o nowożytnem znaczeniu oznacza uczucie sympatyi, poczucie się samemu w sobie jednym z historyą i przyszłością, a także i z teraźniejszością danego narodu (chociażby to był naród bardzo prześladowany i nie było żadnego interesu przyznawać się do wspólności z nim) a przedewszystkiem poczucie wspólności kultury.





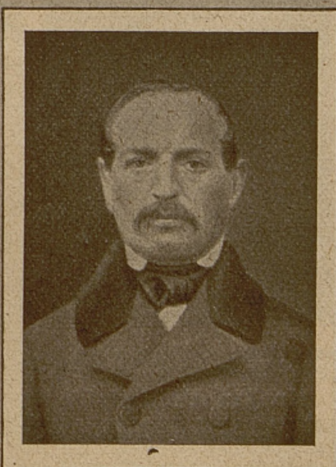
Dr. Hipolit Cegielski.



Antoni Krzyżanowski.



Dr. Ludwik Rzepecki.



Antoni Sobecki.

Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—1875. (Patrz „Nasze ryciny.“)



Jacek Malczewski.

Jeszcze w połowie zeszłego wieku, a więc w erze przedmatejkowskiej, malarstwo i rzeźba polska, mimo niejedne głośniejsze na tem polu imię, tak szczupłe i skromne zajmowały w panteonie sztuki polskiej miejsce, że słynny esteta polski Juliusz Klaczko w pracy wydanej r. 1858 wykazywał, że sztuki plastyczne nie znajdują w Polsce odpowiedniego dla siebie gruntu, że przeto nigdy ich rozkwitu u nas spodziewać się, a nawet bodaj i życzyć należy.

„Bo zaprawdę — tak pisze pomiędzy innemi — byłoby dziwnem, gdyby naród nasz w teraźniejszej swej niemocy w wieku, który wogóle tak mało wszelkiemu artystycznemu sprzyja tworzeniu, naraz tych malarzy i rzeźbiarzy wydał, którzy się u nas i wtedy nie objawili, gdy tryskający życiem i zdrowiem, sił naszych we wszystkich doświadczaliśmy kierunkach, i gdy czasy odrodzenia do owej właśnie czynności przedewszystkiem zachęcały, ośmielały, nagliły“!

Zaiste, zdawać się mogło wonczas, że nie bez słuszności te słowa napisano. Naród, który od wieków szczycił się posiadaniem pierwszorzędnych poetów i uczonych, który w pierwszych dziesiątkach lat zeszłego wieku zajaśniał imionami Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, a w dziedzinie muzyki świat napełniał rozgłosem nieśmiertelnej szopenowskiej chwały, naród ten w dziedzinie sztuk plastycznych, nie tylko wykazywał dziwną jakąś niepłodność, lecz nadto nawet nie odznaczał się znaczniejszą siłą konsumpcyjną w dziedzinie produkcyi sztuki plastycznej.

A jednak wkrótce stać się miało to, co Klaczko „dziwnem“ nazywa. Bo otóż jeszcze za życia swego — Klaczko umarł jako 90 letni starzec kilka lat temu — mógł się przekonać jak nieuzasadnione były stawiane przezeń swego czasu horoskopy. Właśnie sztuki plastyczne, przedewszystkiem zaś malarstwo, rozwinęły się u nas tak świetnie i tak niespodzianie, wykazują w szeregu swych licznych nader przedstawicieli imiona tak wybitne i to w liczbie tak pokaźnej, że stanąć mogą bez sromu obok poezyi naszej, tej według Klaczki najistotniejszej dziedziny ducha polskiego, a przewyższyły co do produkcyi ilościowo, a bodaj i jakościowo dorobek muzyki naszej, wymienionej przez Klą-

czkę tuż obok poezyi jako gałąź sztuki najbardziej w naturze kraju naszego i charakterze narodu ugruntowaną.

Cud ten dokonał się szybko. Kilka lat po ukazaniu się pracy Klaczki zajaśniało zdumionemu światu słońce Matejki. Dziś zaś cała plejada pierwszorzędnych gwiazd lśni na firmamencie polskiej sztuki plastycznej i u swoich i obcych podziw i uwielbienie budzi.

Prym w tym świetnym zastępie malarzy naszych trzyma bezsprzecznie Jacek Malczewski, którego szereg znakomitych płócien mamy sposobność podziwiać w Salonie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych.

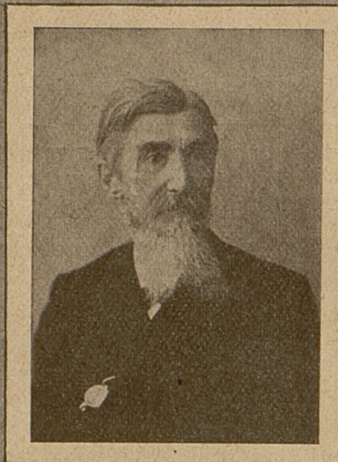
Malczewski to nad wyraz złożona i oryginalna organizacya artystyczna. Jestto nie tylko malarz genialny, lecz także poeta-wizyoner z Bożej łaski.

Dwa te pierwiastki: poetycki i malarski tak ściśle są u niego połączone, tak istotne od siebie nawzajem otrzymują natchnienia, że z dwóch tych punktów widzenia należy patrzeć na wszystkie niemal obrazy jego. W niektórych pierwiastek literacki tak dalece dominuje, że w pierwszej chwili ulega się wrażeniu, jakoby on istotnym był w obrazie, a pierwiastek malarski tylko czemś pochodnem, środkiem, językiem, za pomocą którego poeta usiłuje wyrazić, uzewnętrznić treść myślową, skrystalizowaną w jego mózgu. Lecz jest to tylko chwilowe złudzenie. Patrząc bowiem na te płaszczyzny barwne, które Malczewski przed oczyma widza roztacza, i emancypując się na chwilę z pod sugestyi treści ideowej obrazu, spostrzegamy, że każdy najdrobniejszy szczegół traktowany jest z taką logiką i miłością czysto malarską, z takiem bezwzględnem oddaniem się czysto malarskim zagadnieniom barwy i kształtu i tak mistrzowskiem tych zagadnień rozwiązaniem, że staje się dla widza rzeczą jasną, iż w obrazach Malczewskiego malarski interes ani na chwilę nie ustępuje przed interesem i zamiarem poetyckim.

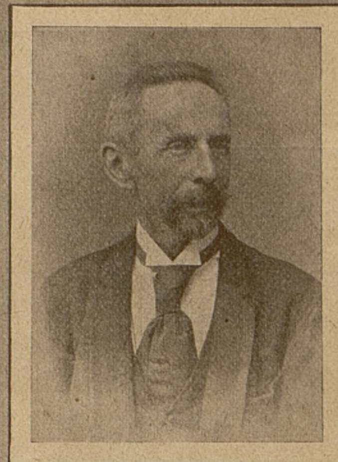
Tak więc jest sztuka Malczewskiego przedziwną i głęboką syntezą bezwymiarowości idei poetyckiej z trójwymiarowością zjawy malarskiej.

Jest on podobny do pisarza, który nie tylko snuje głębokie, pełne siły i poetycznego polotu myśli, lecz stara się znaleźć dla tej treści najszlachetniejszy i najistotniejszy wyraz w formie i stylu. I jak są pisarze, którzy piękności formy zewnętrznej poświęcają niekiedy, nie treść wprawdzie, lecz tej treści najjaśniejszy wyraz, tak i Malczewski, posłuszny głosowi malarskiej swej muzy, i usiłujący spełnić malarskie cele i postulaty swej sztuki, nie waha się poświęcić im niekiedy nieco z absolutnej przejrzystości wyrazu swych koncepcyj ideowych, wskutek czego, a także dla tego, że wogóle posługuje się językiem trudnym i znajdującym w samej naturze swej granice nie przekraczalne, w pewnej chwili niemal widomie przed oczyma przyszłego artysty.

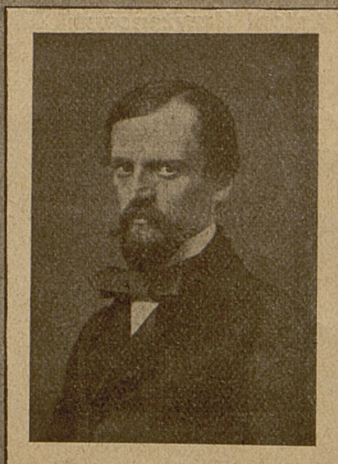
Lecz z tych możliwych i rzeczywistych nawet nieporozumień, wynikających niekiedy z fantastycznego malarstwa Malczewskiego, nie podobna czynić zarzutu artyście. Owszem, mistycyzm tam się ujawniający szczególne-



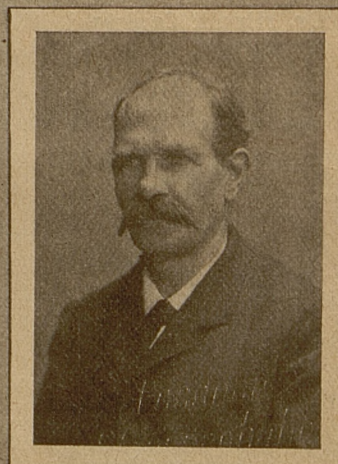
Prof. Dr. Wład. Nehring.



Radzca Stanisław Motty.



Hr. Jan Mielżyński.



Jakób Emil Kajkowski.

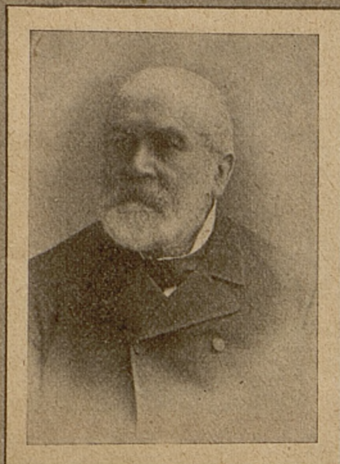
Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—1875. (Patrz „Nasze ryciny.")

niejedno płótno jego dla przeciętnego śmiertelnika staje się zagadką niełatwą do rozwiązania.

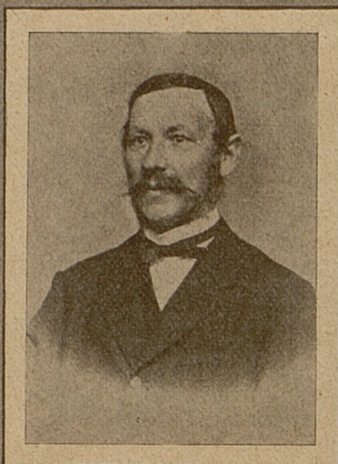
Tak np. wspaniały jego obraz p. t. „Melancholia", zawierający nader skomplikowaną treść myślową, daje pole do najrozmaitszych mniej lub więcej trafnych interpretacyj, lecz dalekie jest od tej absolutnej jasności, która tak łatwym i zrozumiałym językiem przemawia z innego wielkiego obrazu, przedstawiającego malarczyka, zapatrzonego w „Błędne koło" postaci, żyjących w jego wyobraźni, a stających go, fascynującego uroku dodaje jego sztuce. Widz dziwnym jakimś niepokojem naglony raz wraz staje przed jego płótnami usiłowując przeniknąć i zrozumieć to, co za pomocą barwy i kształtu artysta obwieszcza i objawia kongenialnym sobie duchom. A są to zawsze koncepcye poruszające do głębi uczucie i wyobraźnię ludzką.

Ktoś powiedział, że obraz jest podobny do wielkiego pana. Jako taki potrzebuje nietylko odpowiedniego sobie otoczenia, lecz nie zwykł też od... się do każdego i o każdej porze. Należy

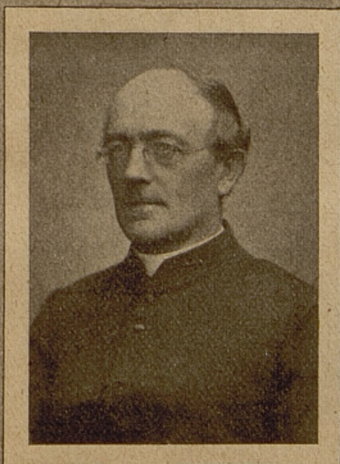
się więc do obrazu zbliżać z szacunkiem i czekać, aż raczy przemówić i wypowiedzieć się cały. Odnosi się to do obrazów Malczewskiego w całej pełni. Nie objawiają się one łatwo jako treść myślowa, natomiast od pierwszego wejrzenia uderzają potęgą malarskiego pierwiastka. Malczewski bowiem, jakkolwiek jest wizyonerem jako poeta, jako malarz, mimo całą fantastyczność swych malarskich także koncepcyj, ani na chwilę nie sprzeniewierzy się swemu sumieniu malarskiemu, nie pozwala sobie na żadne przewartościowania kształtów i barwy. Zna on gruntownie do dna samego wszelkie arkana swej sztuki, to znaczy, posiada technikę wprost niedoścignione doskonałą, jest w swoim kunszcie mistrzem niezrównanym. Przedewszystkiem zaś ukochał ciało ludzkie, a głównie tę jego część, w której się dusza najdobitniej wyraża: głowę i twarz ludzką. „Skowronek“, tryptyk przedstawiający trzy głowy, „Powrót“, „Zmartwychwstanie“, oto szereg płócień, w których artysta dał szereg fizyognomij przykuwających nieprzepartą jakąś potęgą. I jeżeli te płótna oddychają głębią pokoju i zdają się być zasłuchane w jakąś pieśń, bądź to płynącą cichą falą w ich wnętrzu, bądź z zewnątrz trącającą o struny ich duszy, to żywiołowy ruch i gwałtowny, przebolesny gest panuje w wielkich obrazach jego: w „Błędnem kole“ i „Melancholii“, tych arcydziełach także pod względem kompozycyjnym. Co za bogactwo i różnorodność postaci, typów, gestów! Jakiż tam zawrotny panuje ruch i jakiż nastrój rezultuje z tego głębokiego skłócenia kontrastów panujących tak pomiędzy poszczególnemi grupami figur szamocących się wewnątrz pracowni jako też antytezy ciężkiej, gorączkowej atmosfery pracownianej z pogodną, posępną nieco ciszą roztaczającą się zewnątrz szerokiego okna, na którego straży stoi melancholia...



Jan Krysiewicz.



Mikołaj Magnuszewicz.



Ks. Józef Zenkteller.



Józef Zeyland.

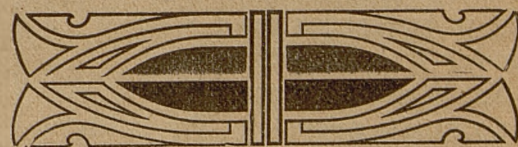
Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—0875. (Patrz „Nasze ryciny.“)

Lecz czas nam kończyć.

Niechaj czytelnik sam podąży do Salonu Przyjaciół Sztuk Pięknych i podda się pod władztwo Malczewskiego czarnoksięstwa, a zapłonie głęboką wdzięcznością i uwielbieniem dla geniusza mistrza.

Dla tych zaś, dla których urok olbrzymich artystycznych wartości rośnie z świadomością ich wartości materyalnej, nie od rzeczy będzie dodać, że przeniesione z Rogalina na wystawę obrazy Malczewskiego reprezentują w obecnej chwili wartość kilku setek tysięcy marek. A przyjdzie czas, że będą reprezentowały fortunę milionową.

R.



Obchód 50-letniej rocznicy

założenia Banku Przemysłowców w Poznaniu.

Na intencyę dalszego rozwoju potężnej tej instytucyi odbyła się w ubiegłą sobotę przed południem o godz. 10-tej w kościele Farnym msza św., którą odprawił ks. prałat Stychel. Podczas mszy św. śpiewał chór „Koła śpiewackiego.“

O godz. 11-tej w starej sali Bazarowej odbyło się uroczyste zebranie Banku Przemysłowców, w której brali udział członkowie Banku, delegaci Spółek i zaproszeni goście. Na estradzie przybranej w zieleń zasiadł na udekorowanem krześle jedyny żyjący dotychczas współzałożyciel p. Stanisław Kaniewski. Sędziwego jubilata uczczono przez powstanie z miejsc.

Posiedzenie otworzył stósownem przemówieniem prezes Rady Nadzorczej p. Telesfor Otmianowski, powitawszy następnie zebranych i Patrona Spółek ks. kan. Adamskiego. Uczczono także pamięć zmarłych współpracowników od założenia Spółki aż do tego czasu.

Marszałkiem honorowym wybrano p. Stan. Kaniewskiego, a marszałkiem czynnym ks. Wolszlegiera. Do biura powołano jeszcze pp. dr. Adamczewskiego z Berlina i Stan. Kucharskiego z Poznania.

Ks. Wolszlegier obejmując przewodnictwo złożył jubilatce (Bankowi) serdeczne życzenia, w swojem i zebra-

nia imieniu, dalszego pomyślnego rozwoju dla dobra i chluby społeczeństwa polskiego. Wyraził także radość, że stare kopce, dzielące Prusy Zachodnie i Księstwo na zawsze usunięte. Zakończył słowy Sienkiewicza: „Dawniej przywileje miała szlachta i książęta, dzisiaj nie ma ich nikt, tylko pieniądz".

Pogląd na 50-lecie i rozwój Banku dał dyrektor p. Bernard Chrzanowski. Bardzo interesujący wykład oparł mówca na wydrukowanym w rozesłanej członkom księdze jubileuszowej, zarysie.

Patron Spółek ks. kan. Adamski przedstawił szczególnie przemianę w książkowości, jaka się dokonała od czasu założenia Spółki. Książkowość obecna jest tak dokładna, że kontrola niesłychanie łatwa. Przestrzegał przytem przed gwałtownem pchaniem Banku naprzód i porównał kwiat wyhodowany sztucznie z kwiatem wyhodowanym w warunkach jemu właściwych. Zakończył również życzeniami.

Ks. Wolszlegier przemówił w końcu do panów delegatów, aby każdy w swojej Spółce starał się zastosować to, co tu usłyszał dobrego na tem polu.

W imieniu rzemiosła i rzemieślników przemówił p. Wolniewicz; wyraził przy tej sposobności życzenie, aby w następnych 50 latach inteligencya więcej się garnęła do rzemiosła, nie tego warsztatowego, lecz w fabrykach, by rzemiosło, jako najswobodniejsze ze wszystkich stanów, doszło do potęgi.

Pani Czesława Wolniewiczówna wykonała własnoręcznie piękny dyplom, (obraz, przedstawiający przemysł i rolnictwo) o następnem brzmieniu: „1861—1911. Bankowi Przemysłowców w Poznaniu w dniu pięćdziesięcioletniego istnienia składamy najserdeczniejsze życzenia dalszego rozwoju i powodzenia. Grono członków rzemieślników. Poznań 13. 5. 11."

O godz. 12-tej min. 45 marszałek solwował zebranie życzeniem „Ad multos annos!" Obrady toczyły się z powagą, godną tej chwili uroczystej.

Nadeszło 78 telegramów.

W czasie obiadu przemawiali: Ks. dr. Wolszlegier, pp. Bryliński, Adamski, dr. Bajoński, Drygas, Filipowicz, szambelan dr. Jackowski, dr. Gantkowski, dr. Hanke, Rose, Krysiak, Leon Sokołowski, nestor zebrania Kaniewski, dr. Schroeder, kierownik „Straży," Kasprowicz z Gniezna i Wincenty Niemojowski ze Śliwnik.

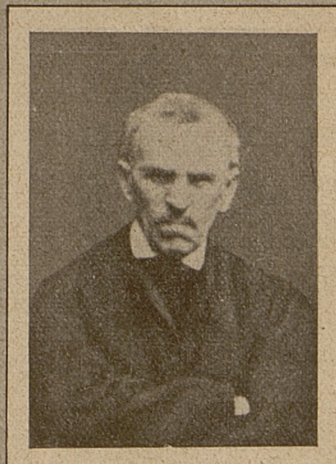
Na „Dom Kaszubski" zebrano około 450 marek.



Zamach na Bractwo strzeleckie w Śremie.

Pisma codzienne doniosły już szczegółowo o świeżo dokonanym zamachu przez Niemców na Bractwo strzeleckie w Śremie, które na wskroś polskie, niestety! już mniej więcej przed pół wiekiem uległo wpływom niemieckim z winy Polaków. Gospodarowano bowiem w ten sposób, że po 30 latach nie było już dość znacznego majątku, a równocześnie nie było niemieckich członków. Wówczas polscy obywatele wskrzesili ponownie Bractwo i doprowadzili do nader pomyślnego stanu. Majątek Bractwa wzrósł w ostatnich latach do 20,000 marek. I to stało się powodem, że Niemcy ponownie opanowali Bractwo śremskie, ale nie drogą legalną, lecz gwałtem, a wolę swoją narzucił magistrat, gdyż mimo oporu Polaków, wprowadził do Bractwa około 120 urzędników, zdobywając w ten sposób większość niemiecką.

Zamachu dokonano na walnem zebraniu, które się odbyło dnia 10-go b. m. pod strażą skonsygnowanej żandarmeryi niemal z całego powiatu, a pilnującej sali, przed którą zebrała się publiczność w pokaźnej liczbie. Na zebranie magistrat zaprosił wszystkich narzuconych w sierpniu roku zeszłego Niemców, natomiast nie zaprosił ani jednego Polaka z przyjętych przez zarząd od marca roku zeszłego. Ponieważ burmistrz p. Schorstein z góry oświadczył, że nie dopuści nikogo do głosu i chciał przystąpić zaraz do wyboru trzech starszych, p.


Radzca Leon Chlebowski.


Cyryl Adamski.


Wojciech Mager.


Antoni Pfitzner.

Członkowie Komitetu Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres II. 1875—1891. (Patrz „Nasze ryciny.")

dr. Matuszewski imieniem Polaków napisał natychmiast energiczny protest po polsku i po niemiecku, w którym 80 podpisanych uważało zebranie niniejsze jako nieprawne. Nadto oświadczył p. dr. Matuszewski, że proponowanie kandydatów przysługuje jedynie „reprezentantom,“ na co burmistrz odpowiedział, że i oni złożeni zostaną z urzędu, tłomacząc się, że — „tak kazał mu postąpić prezes rejencyi“. Poczem Niemcy dokonali gładko wyboru niemieckiego zarządu, a w dalszym ciągu wykluczyli z Bractwa pięciu Polaków: pp.: Borowicza, dr. Matuszewskiego, Muślewskiego i dwóch Schützów. Dokonano tego 150 głosami niemieckiemi przeciwko 80 głosom polskim. Zaraz potem opuścili wszyscy Polacy salę obrad, a przed wyjściem p. dr. Matuszewski napiętnował postępowanie burmistrza.

Nazajutrz burmistrz odbywał z policyantami rewizyę w niektórych mieszkaniach, szukając przepadłych po śmierci ś. p. Neymana akt, insygnij, stempli i klejnotów Bractwa. Rewizya jednak była bezskuteczna, ponieważ obywatele, świadomi swych praw, dali panu burmistrzowi odprawę zasłużoną.

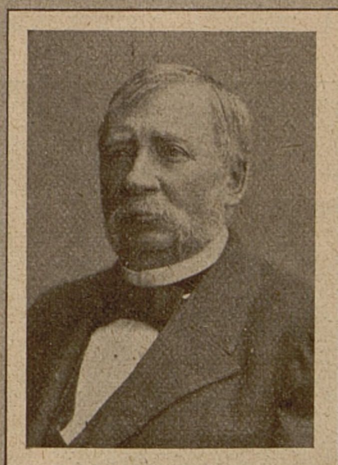
W Bractwie strzeleckiem w Śremie stało się podobnie jak w bractwie strzeleckiem w Poznaniu: steroryzowano Polaków, przejmując pokaźny majątek.

Oto znowu nowy kwiatek antypolski, uszczknięty z olbrzymiego bukietu kulturników pruskich, nie bojących się prócz Boga nikogo!

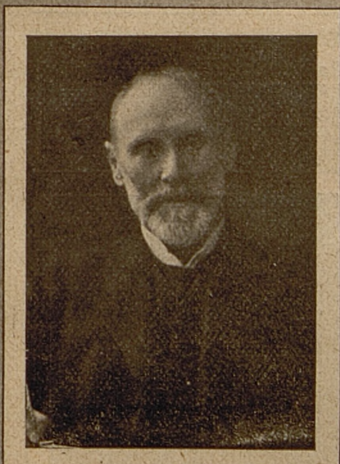
Naturalnie, że polscy członkowie Bractwa strzeleckiego w Śremie dochodzić będą swych praw, ale z jakim skutkiem?!



Władysław Kortak.



Prof. Dr. J. Szafarkiewicz.



Radzca Dr. I. Zielewicz.



Dr. Józef Kusztelan.

Członkowie Komitetu i Rady Nadzorczej Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres II. 1875—1891. (Patrz „Nasze ryciny.“)



Napisy polskie

na wystawie poznańskiej, lubo są tam tylko w znikającej liczbie, tak dalece rażą hakatystów, iż wystosowali korespondencye do „Pos. Tagebl.“, domagając się ich usunięcia.

Nawet napis ostrzegający, umieszczony na jakiemś karkołomnem urządzeniu zabawowem, usiłowano skasować. A więc nawet tam, gdzie wskutek niewłaściwego zachowania się zdrowiu i życiu ludzkiemu zagraża niebezpieczeństwo, nawet tam zaciekłość polakożercza występuje przeciw polskiemu ostrzeżeniu byle tylko nienawistny język polski nie mącił powszechnej harmonii niemieckiej.

Że prowokacyjne to postępowanie jest nietylko marną małodusznością, zdolną przyprawić o mdłości każdego normalnego człowieka, lecz pomiataniem godnością i uczuciami naszej ludności — tłumaczyć nie potrzeba. Ludność nasza wyciągnie z tego postępowania należyte wnioski i to tem bardziej, o ile na skutek ujadań hakatystycznych niektóre napisy polskie faktycznie skasowano.

Pomiędzy innemi pragnięto także usunięcia kilku słów polskich z godła firmy H. Cegielskiego. Rzecz nie udała się. Mimo to objeżdżający wystawę książę następca tronu zatrzymał się przed pawilonem, kazał poprosić p. szambelana Cegielskiego do siebie i wyraziwszy radość z rozkwitu firmy uściskiem dłoni pożegnał p. Cegielskiego. Hakacie prawdopodobnie uprzejmość księcia dla wybitnego obywatela polskiego nie była zbyt miłą. Ludność nasza jednakże nie bez zadowolenia dowie się o tej kurtoazyi.

Epizod ten jakkolwiek miał miejsce na wystawie w niczem nie może zmienić stanowiska naszego wobec samejże wystawy, której wybitnie antypolski charakter dostatecznie już stwierdzono. Ktoby zaś miał najlżejsze jeszcze w tej mierze wątpliwości, ten przeczytawszy wystawowe zeszyty gazet niemieckich niechybnie z resztek optymizmu wyleczony będzie. Publikacye te bowiem są tego rodzaju, że bez osłonek z jasnością absolutną proklamują wystawę jako tryumf niemczyzny nad polskością, jako zwycięstwo czarnego nad białym or-

łem, prowokują więc bezwzględnie i brutalnie wszystkie te bolesne uczucia nasze, które proste ludzkie uczucie uszanować, a przynajmniej oszczędzać by nakazywało. Nie my przeto usuwamy się od wystawy, lecz nas z niej brutalnie wypchnięto, a raczej od jej progów odtrącono. Tak się sprawa ta przedstawia w rzeczywistości.



W. R. Wegnerowicz.

Młoda Białoruś.*)

JEJ ODRODZENIE I LITERATURA.

Ostatnimi czasy widzimy cały szereg bardzo charakterystycznych objawów, które ogółu ludzkości zwiastują nową erę. Historya XIX. wieku, wielka wichura, co przeszła i ogarnęła prawie całą Europę, zbudziła niejako z letargu niemal wszystkie ludy. I cóż widzimy? — Każdy zapytuje jaką ma spełnić rolę, jakie jest jego posłannictwo, a spojrzawszy głębiej w treść swego życia widzi, że ma rozstrzygnąć przedewszystkiem jątrzące pytanie narodowościowe. I oto powstają po dwuwiekowem uśpieniu Czesi, a dalej południowi Słowianie, ostatnimi zaś czasy Ruś, Kaszubi, Serbowie łużyccy, nasza polska sprawa poczyna się poprawiać. Nawet taki ludek, jak Jakuci na dalekiej północy, krzewi ideały swej odrębności plemiennej i samodzielności narodowej, a cóż dopiero mówić o Normandyi, Bretonii, Szkocyi i t. d. i t. d.

Ruch t. zw. białoruski datuje się od bardzo niedawna. Śledzić go możemy właściwie dopiero od r. 1906, gdy zjawiła się „Nasza Niwa,“ pierwsza gazeta białoruska. I nie dziw, że naród białoruski, raz uświadomiwszy sobie swoją odrębność, pragnie rozwijać się indywidualnie, tym bardziej, że liczebnie (prawie 10 milionów ludności) stanowić może zupełnie poważne społeczeństwo. Trudności owej pracy organicznej, pominąwszy już przeszkody, jakie rząd rosyjski, nie przebierając w środkach, stawia Białorusi, polegają przedewszystkiem na zróżniczkowaniu ludu białoruskiego. Część jego wyznaje katolicyzm, inni znów prawosławie. To stanowi może największą obecnie tamę w budzeniu się narodu. Lud rozsiany na tak wielkim obszarze (gub. Mińska, Mogilewska, część Wileńskiej) znajduje się pod różnymi wpływami. Z jednej strony ma kontakt z Polakami i kościołem katolickim, z drugiej — Rosya i cerkiew prawosławna.

Pomimo te trudności ruch białoruski zatacza coraz szersze kręgi. Ostatnie lata przyniosły stosunkowo spore rezultaty, co przedewszystkiem widać w licznych wydawnictwach nietylko treści beletrystycznej, lecz i naukowej, traktującej o historyi Białorusi, języku, zabytkach piśmiennictwa, etnografii i t. d.

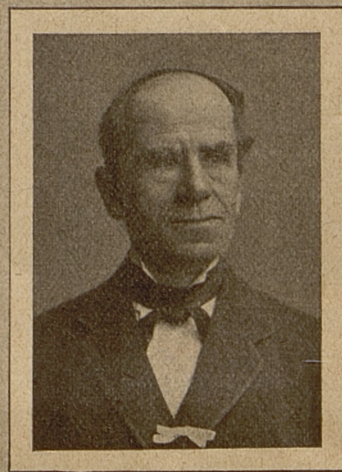
O początkowej fazie ruchu białoruskiego świadczy choćby nieustalony jeszcze język i pisownia. Zabytki historyczne pisane są w t. zw. starym białoruskim języku, z drugiej strony mamy gwarę ludową. Język literacki nie znalazł jeszcze stałej formy. Wydawnictwa drukowane są podwójnie: latynicą dla ludności katolickiej i cyrylicą dla — prawosławnej.

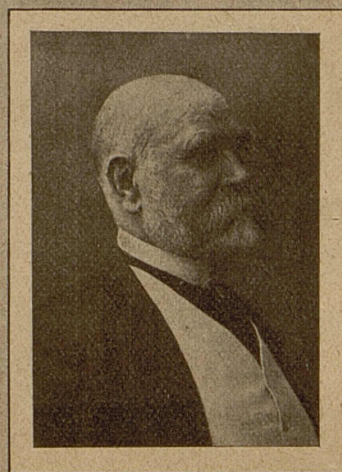
Największą troską młodej Białorusi jest brak własnego szkolnictwa. Dopóki ta kwestya nie zostanie rozstrzygniętą, nie można myśleć nawet o ustaleniu stałej pisowni. Dzieci w szkołach uczą się po rosyjsku, a jeśli wziąć jeszcze pod uwagę ludność prawosławną cyrylicka pisownia staje się niezbędną. Dążenie jednak jest, aby za ogólny i stały przyjąć alfabet łaciński i tu poczyniono już pewne reformy w pisowni.

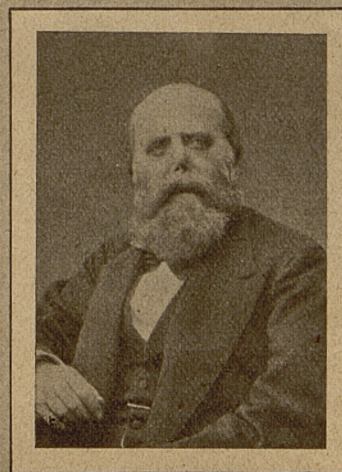
A teraz spojrzmy na młodą literaturę Białorusi. Któż z nas nie zna dumek i pieśni ukraińskich i białoruskich? Nic się na pozór dotychczas nie zmie-

*) Powyższy artykuł wyjęty jest z najświeższego zeszytu „Filarety,“ miesięcznika kulturalnego dla Młodzieży. Pismo to szczerze patryotyczne i katolickie, stojące na straży idealizmu, winna abonować Młodzież nasza. Adres Redakcyi „Filarety:“ Poznań Rycerska 38. — Przyp. Redakcyi.


Bolesław Leitgeber.


Radzca Dr. Wit. Milewski.


Dr. Sylwester Buski.


Kazimierz Kantak.

Członkowie Zarządu Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres II. 1875—1891. (Patrz „Nasze ryciny.“)

niło. Poeci białoruscy, chciałbym ich nazwać pieśniarzami lub lirnikami, czerpią swe natchnienie z tego samego źródła, co i pieśń gminna: — lud, zwyczaje jego — oto ognisko poezyi białoruskiej. Mamy tu ową swoistą muzykę, dźwięczną, przeważnie smętną i skołysaną zda się rytmiką pól falujących, a czasami radosną, jak uśmiech młodej dziewczyny na wspomnienie o swym chłopaku.

Przypuszczam, że czytelnik najlepiej zda sobie sprawę z charakteru poezyi i pieśni białoruskiej, gdy streszczę utwór jednego z najpopularniejszych obecnie poetów — Janka Kupały p. t.: „Adwiecznaja piesnja“ (Wyd. Hryniewicza. Petersburg 1910). Mamy w nim zobrazowaną odwieczną dolę chłopa. Kupała wprowadza szereg postaci (Dola, Głód, Chłód, pory roku itd.), jako nieodstępnych towarzyszów smutnego życia chłopskiego i pisze swój poemat w formie dyalogów.

A więc u kolebki nowonarodzonego dziecięcia staje „Życie“, otwiera mu swe podwoje, dając do rozporządzenia „rzeki i doliny i góry“. Jednak nad życiem panuje „Dola“, a ta pisze dziecięciu fatalny cyrograf. „Bieda“ bierze je pod swoje skrzydła. „My będziem chodzić za niem“ — dodaje „Głód i Chłód“. I oto dziecię ma wytkniętą drogę: „Chór“ powiada kim ma zostać —

„niechaj będzie ni mały, ni wielki,
niechaj nosi imię: „Chłop“.

W drugim obrazie widzimy już pastucha, który jako dziecko musi być „na służbie“. Siedzi na łące bosy i zziębnięty i lamentuje. Przychodzi doń matka, pyta się czy nie głodny, czy go nie biją „na służbie“.

„Zapytaj się ptaszków matko —
Konika.
Hej zapytaj czarnej chmury —
I też mych,
Pytaj kwiatków na ugorze
Drzewin tych“.

A kiedy matka płacze, pociesza ją chłopczyna:

„Nie płacz, matuś, nie gniewaj się
Na życie,
Gdy dorosnę, sił zdobędę,
Zmogę ję“.

Czas biegnie, z pastuszka wyrasta mężczyzna. Ot i przyszło „Wesele“. Bodaj raz można pohulać wesoło za uciułane grosze, nie pytając o przyszłość. Krótko jednak trwa radość. „Chór“ — motto życia chłopskiego — odzywa się posępnie wśród zgiełku i wrzawy weselnej.

Życie płynie dalej. W chacie bieda; chłop siedzi głęboko zamyślony, a tu przez maleńkie okienko wbiega uśmiechnięta „Wiosna“ w jasnych promieniach słonecznych. Napędza ona chłopa do pracy. Lecz cóż, kiedy biedak nie ma ziarna, aby obsiać niem pole. Trudno, więc musi pożyczyć je we dworze.

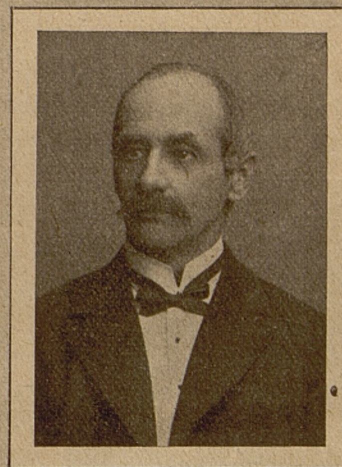
I oto widzimy chłopa w polu, idzie „Za pługiem“. Koń jego mały i wychudzony co chwila przystaje. Nad głową rolnika w błękitach śpiewa rozgłośnie skowronek, ale skołatane serce chłop-

„Oj, praco, praco,
Bez końca, kresu!
Oj, koso, koso,
Potem oblana!“

narzeka chłop, kosząc nędzny urodzaj na swej ziemicy. Za nim idzie żona, zbiera jałowe kłosy, a obok troje drobnych dziatek. Kiepskie „Żniwo“; smutne myśli nadchodzą.

„Ach, życie, życie,
Beznadziejne!“


Henryk Rechter.


Józef Wache.


Feliks Rakowski.


Dr. Wawrz. Grodzki.

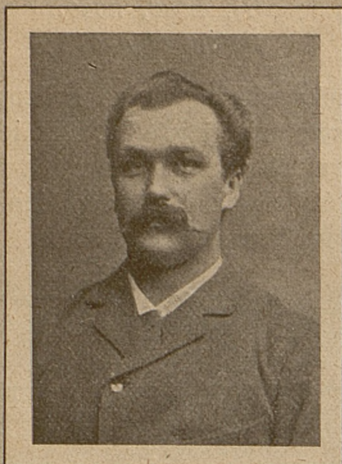
Członkowie Zarządu Banku Przemysłowców w Poznaniu: Henryk Rechter, kotroler, Józef Wache, skarbnik, Feliks Rakowski, kontroler od 6. 7. 77 do 20. 11. 78 r., następnie dyrektor od 20. 11. 78 do 16. 2. 91 r. i Dr. Wawrzyniec Grodzki, prezes Rady Nadzorczej od 1891 do 1899 r. (Patrz „Nasze ryciny.“)

skie nie zna radości. Przechodzący żebrak prosi o jałmużnę i przypuszcza, że chłop nie chce go opatrzyć.

A gdy przyszło „Lato“, powódź zalewa pole i zamiast kosić swoją łąkę, chłop musi pójść na skąpy zarobek do dworu, gdzie pamięta jeszcze pańszczyznę, która stargała siły jego ojców.

Płyną lata, ciężkie, niemiłosierne. Każdy rok coraz bardziej wyczerpuje chłopa. To też „Jesień“ radzi mu, widząc małe zapasy na zimę, aby dokupił mąki. Cóż jednak ma począć, kiedy brak pieniędzy, dzieci już siedmioro w chacie, nie można było nic zaoszczędzić.

Już szereg lat boryka się chłop, rok


Stanisław Ołyński.


Michał Więckowski.


Dr. Kazimierz Hącia.


Syndyk Józef Thiel.

Członkowie Zarządu i Rady Nadzorczej Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Stanisław Ołyński, zastępca prezesa Rady Nadzorczej od 1895 do 1899 r., następnie prezes tejże Rady od 1899 do 1903 r.; Michał Więckowski, dyrektor od 10. 6. 91 do 1. 12. 07 r., Dr. Kazimierz Hącia, skarbnik od 1902 do 1. 12. 07 r. następnie kontroler od 1. 12. 07 do 1 11 09 r., Józef Thiel, syndyk od r. 1875 (Patrz „Nasze ryciny.“)

rocznie na zasiewek trzeba pożyczyć ziarna, kleić głodem życie, aż wreszcie sytuacya staje się bez wyjścia: „Święta“ zamiast radości rodzinnej, przynoszą troski: dzieci nie chodzą do szkoły, nie mają niezbędnego ubrania na zimę. Starosta żąda podatku, „szafarz“ ze dworu upomina się o zwrot pożyczonego ziarna.

„A więc cóż? cóż więc dalej!?
I dokąd tak będzie?
Ani serca, ani Boga...
Oj, życie, oj ludzie!“

woła chłop rozpacznie. Niema wyjścia. Chwyta czapkę i ucieka do karczmy, aby za ostatnie grosze zabić smutek gorzałką.

„Na sierocą twoją dolę
Idę k'tobie mogilniana“,

powiada „Zima“ do chłopa, spuszczającego jodłę w lesie. Napróżno błaga ją, aby oszczędziła mu i dzieciom chłodu. W tem drzewo wali się i zabija nieszczęśliwca.

Zawodzą nad umarłym żona i dzieci; zabito trumnę i poniesiono chłopa na cmentarz. — Tu jednak nie koniec doli chłopskiej.

„Na mogile“ siedzi cień i rozmyśla, czy też lepiej już dzieje się chłopu na ziemi. I tak jak nad kolebką zbiegają się ku niemu nieodstępni towarzysze doli chłopskiej: „bieda“, „głód“, „chłód“ i t. d. Wszystko więc pozostało po dawnemu.

„Niemiło mi słuchać niemiło
Z mojej ziemi takowej nowinę,
Więc się otwórz na nowo mogiło...

Cień znika. Chłop powraca do mogiły.

Oto całość poematu. Jak tu, tak i w innych utworach Kupały, a wogóle młodych poetów białoruskich, znać poszukiwania swoistej oryginalnej formy i charakteru. Z bogatej ludowej poezyi, jaką była zawsze poezya białoruska, chcą oni stworzyć nową literaturę. Widać jeszcze ustawiczne odchylenia to na stronę rosyjskiej, to polskiej poezyi. Kupała w niektórych miejscach powyższej „Pieśni“ wprost parafrazuje Kolcowa („Czto ty spisz, muziczok“? t. zn.: „Czemu ty śpisz, chłopku?“) — „Pieśń rolnika“.

Nie wymagajmy jednak zbyt wiele. Trudno, aby w tak krótkim czasie Białoruś mogła zdobyć się na obfitsze plony. U Polaków każdy przejaw budzenia się jakiegokolwiek bądź narodu powinien budzić żywe sympatye. Kto lepiej od nas zna owe troski w krzewieniu kultury i uświadomienia narodowego?



Z najnowszej poezyi polskiej.

Zygmunta Różyckiego „Wybór Poezyi“

poprzedza przedmowa Tetmajera, widzącego w młodym poecie artystę z „Bożej łaski“, artystę świetnej miary. „Myślą i czuciem jest na drodze do wielkiej poezyi, na którą u nas patrzą, jak na wał olbrzymich obłoków na niebie, z których nie pada wprawdzie deszcz, aby „rósł chleb“, „ale które są cudowną zjawą odrywającą oczy od błota.“ To znaczy, że poezye Różyckiego nie zawierają haseł i idej, lecz płyną z pełni osobistego życia poety. Jest to indywidualnością poety, czy z tego źródła czerpie swe natchnienie, czy też pobudkę swych twórczych myśli znajduje w uniesieniu patryotycznem i ideałach wszechludzkich. — U Konopnickiej naprzykład idea rozkwita cudami artyzmu. Wedle zdania jednego z krytyków jest to jeden z najgodniejszych objawów nowoczesnej naszej twórczości poetycznej i dowodem energii żywotnej, zawartej w twórczym geniuszu narodu. Różyckiego natchnienie płynie przedewszystkiem z wiekuistego piękna natury i z nieskończonej mocy miłości. Osobista nuta dźwięczy w jego pieśniach i ujawnia nam duszę poety, wrażliwą na piękno wytworne, na czar miłości płomiennej. Oddaje nam swe odczucia z przepychem, łatwością i giętkością słowa. Mi-

łosne pieśni porywają nas temperamentem bujnej młodości, co pije z rozkoszy zdroju, i radość nam sączy w każde tętno. Żaru pocałunków i pieszczot spragnione są jego boginie, a nawet obłędem kwiatów dyszą noce parne i drżą szmernych liści upojne zawroty. Hołduje Afrodycie, bogini zmysłowych rozkoszy, choć opiewa także czystszą niż kryształy św. Agnieszkę i rozpłomienioną miłością nadziemską św. Teresę. Lecz:

„Która na świecie tym białogłowa
„Obudzi we mnie takie tęsknoty
„I takie cudne wyszepce słowa,
„Jak ta świetlista swe miesiącowa?
„Która tak włos swój rozplecie złoty
„I swych tajemnic wszystkich dochowa
„I duszę z duszą wszechświatów skowa,
„Jak ta świetlista noc miesiącowa.“

Wrażliwy na objawy niewieściego piękna, silniej jeszcze odczuwa piękność przyrody i patrzy na nią oczyma malarza artysty. Park w śniegu, Upalne południe, Ranek, Młoda Jabłoń czarują nas artystyczną formą i zostają w pamięci jako pełne subtelnego wdzięku obrazki. Różycki maluje słowami i roztacza przepych barw:

„Stoi we złotem zbożu wysmukła dziewczyna,
„Na głowie jej powiewa pstrożółtawa chusta,
„Rozwarła cicho świeże, purpurowe usta,
„Rozwarła cicho modro szafirowe oczy
„I patrzy w słońce — —
„Fale złocistej roztoczy
„Cicho do niej pełzają i u nóg się kładą...“

Gdy zboże się kołysze pod dotknięciem słonecznej płomiennej pieszczoty, a rzeźkie zapachy płyną naokół, poeta rozśpiewa duszę w takt szumiących zbóż słoneczną pieśnią. Jest niezmiernie wrażliwy na nastroje przyrody. A gdy błękitny zmierzch jak cisza przesłodka zstępuje na ziemię, dusza gdyby ptak ucieka w modry bezkres i o życiowych smutkach zapomina. Rzeźkie, chłodne tchnienie srebrnej nocy otula zmęczone serca ciszą mgielną i spokojem. Niebu zabiera wszystkie barwy tęczy, nocy wszystkie jej przepychy, ziemi wszystkie czary i uroki i wszystko to splata w girlandę, co wonieje i płonie wtenczas, gdy już życie wszystkie złudy tęczowe odbierze. Ukojenie znajduje, wpatrując się z rozkoszą w nieprzebrane skarby wiecznie pięknej przyrody. — Lecz i on doznał goryczy i zawodów i przeżył chwile ciężkich zwątpień. I pyta, czy warto żyć, gdy tyle złego na świecie? Kochał ludzi i świat cały miłością szczerą, niekłamaną, a za to oplwano mu serce, połamano i zdeptano mu duszę. Skarży się matce:

„Czemuś mej duszy przykazała,
„By wszystkich ludzi ukochała
„Tym świętym ogniem miłowania
„Co nie zna nic, prócz przebaczenia“.

Poeta cierpi, bo ludzkość nieszczęśliwa, zamiast dążyć w wyżyny, zsuwa się w mrok szarej niemocy, bo widzi jak los gnie tych, co mają serca kryształowe. Cierpi, bo pod druzgocącym młotem rozpadają się ołtarze ideałów, a ludzie giną za cudze winy. Tęskni za jasnym lądem wiecznego zbratania, za jasnym brzegiem wolności niezmiennej. Jak Prometeusz targa się w bezsilnej męce, bo chciałby ludzi wydźwignąć w słońce, a tu sił nie starczy i skrzydła opadają. Wzywa śmierci i hańby, że nie mógł płynąć z duchów awangardą i być tym słupem ognistym, co świeci dla teraźniejszych i przyszłych stuleci. W naszych warunkach najwięcej oddźwięku znajduje pieśń dobyta z duszy skrwawionej narodu, z jego pragnień, tęsknot i ideałów wyśpiewana, z jego walki, męki i udręczenia płynąca. Pragniemy, by poeta był wieszczem swego narodu. Tetmajer wróży poecie, że i on z Gustawa przemieni się w Konrada. Nie wiemy jeszcze do jakich wyżyn uniesie go jego siła twórcza. W każdym razie jest Różycki mistrzem słowa. Z zaczarowanego ogrodu marzeń daje nam kwiaty cudne swego natchnienia, daje nam swe myśli i odczucia w pięknej i artystycznej formie. Jawi nam się jako natura czysta, szlachetna:



Zygmunt Różycki.

„Chciałbym być dla was jasnym promieniem
„Chciałbym być dla was dobroci słońcem
„I letniej nocy cichem westchnieniem
„I dobrych wieści skrzydlatym gońcem.
„Chciałbym być dla was kojącym śpiewem
„Kwietnej młodości radosnem echem
„I rzek miesięcznych srebrnych rozlewem
„Pieszczotą, wiosną, złotym uśmiechem.“

Zofia Kłossowska.



Przegląd rolniczy.

Od lat kilku toczy się w kołach ministeryalnych jako i pomiędzy partyami parlamentarnemi walka o — świnie.

Podczas gdy konserwatyści i z nimi agraryusze starają się o utrzymanie sztuczne cen rzekomo wygórowanych za świnie, to lewica i lud domagają się tańszych cen i otwarcia granic na zasadzie wolnego handlu.

Trudno tu rozsądzać, która strona ma racyę, jedynie z punktu czysto rolniczego wypada nam sytuacyę wyjaśnić. Cen rzekomo wysokich nie może rolnik nazwać przesadniemi, zważywszy na ogólną drożyznę, kosztowną paszę a wreszcie przedewszystkiem na ryzyko wielkie, które przedstawia hodowla trzody chlewnej, tak często tragicznej przez różne choroby śmiertelne jak czerwonkę, pomór itd. Prawdą jest, że do produkcyi 1 klg. wieprzowiny potrzeba 1,35 klg. ścisłej paszy, kiedy do produkcyi 1 klg. wołowiny potrzeba aż 3,5 kg. ścisłej paszy.

Podług tego winna być wołowina prawie trzy razy tak drogą, jak wieprzowina, gdyż aż trzy razy tyle wół spożyje, nim mu tyle mięsa przybędzie, co świni. Trzeba jednakże sobie rozważyć, że naprzód bydło nie podlega tak bardzo zarazom jak świnie, o czem już wyżej mowa była, a wreszcie niewolno zapominać o wielkiej wartości mierzwy bydlęcej w stosunku do mierzwy od świń.

Świnie mało mierzwy oddają gospodarzowi a mierzwa od nich jest bardzo nietreściwą; dla braku większej ilości azotu, kwasu fosforowego, potasu i wapna jest mierzwa ze świniarni tylko lichym pokarmem dla roślin. Przytem trzeba dodać, że świnie nierzetelnie trawią, ziarno chwastów nie traci w przewodzie pokarmowym świń swej siły kiełkowania i ostatecznie pole wymierzwione odchodami ze świniarni zażółci się od łopuchy i innego zielska. To też rolnik starający się o podniesienie kultury swej ziemi i wreszcie dochodów z ziemiopłodów, forsuje oborę, sprowadza bydło, kalkulując, że chwilowy wydatek i może nawet nierentowne tuczenie zrównoważą mu zwiększone sprzęty w polu.

Znaną jest rzeczą, że na bydle gospodarz niema żadnego zysku. Specyalne warunki, znajomość gruntowna zawodowa a wreszcie szczęście dają temu lub owemu jakieś zyski z tuczu

lub produkcyi mleka, większa część jednakże rolników nietylko Księstwa, lecz także całych Niemiec dopłaca rocznie tyle a tyle i jedynie myśl o potrzebnym oborniku skłania gospodarza do hodowli bydła. Zatem po ewentualnem otwarciu granic gospodarze trzymaliby dalej nolens volens bydło, swiniarnie natomiast pozamykaliby wszyscy i oczywiście otwarcie granic spowodowałoby nową drożyznę na mięso, gorszą może niż obecną.

Nowe jakieś ustawy miałyby zatem nieobliczalne skutki dla ludu przedewszystkiem biednego.

Ekonomiści twierdzą, że ilość świń rośnie z roku na rok proporcyonalnie z rośnięciem ilości ludności. Statystyka potwierdza powyższe zdanie.

W roku 1802 przypadała 1 świnia na 26 mieszkańców; w r. 1816 1 świnia na 7 mieszkańców; w r. 1858 1 na 6,7 mieszkańców; w r. 1869 1 na 5,7 mieszkańców; w r. 1873 1 na 6,2 mieszkańców; w r. 1885 1 na 8,1 mieszkańców; w r. 1900 1 na 16,9 mieszkańców; w r. 1907 1 na 22,15 mieszkańców.

Licząc się z walką o cła na świnie nasuwa się pytanie, czy pod presyą lewicy i ewentualnych kompromisów parlamentarnych zgodzi się rząd ostatecznie na zniesienie ceł? Nie, stanowczo nie! Trzeba rozważyć, że cały ustrój rządowy jest tak urządzony, jakby lada chwila miała wybuchnąć wojna. Do wojny militarnej wszystko jest w pogotowiu, kosztem miliardów niezliczonych. Rząd natomiast militarnie przygotowany musi pamiętać o tem, aby i ekonomicznie był gotów. Gdyby więc taniość mięsa spowodowała wszystkich gospodarzy do zamknięcia świniarni, wtedy nic łatwiejszem nie byłoby dla państw ościennych a mianowicie dla Rosyi jak zakaz dowozu świń i bydła do nieprzyjaznych w razie wojny Niemiec. Wtenczas nastałaby drożyzna w kraju ogromna a wreszcie głód, choroby i anarchia zupełna, które zwykle nawiedzają wszystkie razem kraj dotknięty jakąkolwiek większą klęską.

Licząc się więc z ewentualną zależnością od państw ościennych, nie może rząd ustąpić za żadną cenę, gdyż nie może kłaść wszystkiego na jedną kartę i musi się starać o to, aby nakłady szalone na cele militarne nie były zniszczone jedną uchwałą parlamentu.

Blokada żywnościowa w czasie wojny nie jest zresztą niczem nowem, dość wspomnieć Napoleona, który zamknął kontynent dla towarów kolonialnych celem zbojkotowania głównie interesowanej Anglii. Blokada ta miała mniejsze znaczenie, ponieważ tyczyła towarów jak cukier, kawa, więc artykułów, w braku których nikt nie umiera z głodu.

Co prawda gospodarze rozpoczęli wtedy plantacyę buraków cukrowych, aby mieć rekompensatę za cukier z niedozwolonej trzciny cukrowej krajów egzotycznych.

W ten sposób wielki potentat dał zaranie nowej produkcyi rolniczej tam jak plantacyi buraków cukrowych, wyhodowanych z zielska pospolitego Beta fotosia, rosnącego dziko dziś jeszcze nad brzegami Morza Śródziemnego. Upadek Napoleona był także upadkiem buraka cukrowego w Europie, gdyż niewolnicy w Indyach taniej produkowali trzcinę niż wolny robotnik Europy.

Dopiero zniesienie niewolnictwa na całym świecie po roku 1850 pozwoliło znowu na plantacyę buraka, gdyż cukier z trzciny produkowany przez ludzi wolnych podrożał i nie uniemożliwiał konkurencyi ze strony plantatorów buraków w Europie. Odtąd plantacya buraku rozwinęła się na dobre i obejmuje coraz szersze rozmiary.

Rusticanus.

Nasze ryciny.

Z powodu złotego jubileuszu Banku Przemysłowców w Poznaniu

dajemy w dzisiejszym numerze jako kartę albumową zbiorową fotografię uczestników uroczystości jubileuszowej odbytej dnia 13-go b. m.

Fotografię wykonano ku ogólnemu zadowoleniu w Atelier Rubens, dawniej E. Mirska przy placu Wilhelmowskim nr. 3.

Jednocześnie zamieszczamy z powodu wzmiankowanego jubileuszu w dalszym ciągu 8 rycin odnoszących się do dalszej i bliższej przeszłości wzmiankowanego Banku, mianowicie okresu I. 1861—1875, okresu II. 1875 do 1891 i okresu III. 1891—1811.

(Patrz artykuł wstępny p. t. „Pięćdziesięciolecie Banku Przemysłowców w Poznaniu“, zamieszczony w zeszłym numerze).

Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

W piątek dnia 12-go maja b. r. o godzinie 4-tej po południu odbyło się na sali Domu Katolickiego zwyczajne walne zebranie „Westy,“ Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

Zagaił takowe i przewodniczył mu prezes rady nadzorczej pan dyrektor dr. Rzepnikowski z Lubawy. Protokół spisywał pan notaryusz Trąmpczyński.

Stosownie do porządku obrad zdał sprawozdanie generalny dyrektor „Westy“ p. dr. Mieczkowski i przedłożył bilans i obrachunek zysków i strat za rok 1910.

W imieniu komisyi rewizyjnej referował p. Stanisław Leitgeber i wniósł o udzielenie pokwitowania dyrekcyi i radzie nadzorczej. Zebranie udziela tegoż pokwitowania oraz przyjmuje proponowany przez zarząd i radę nadzorczą podział zysków.

Do rady nadzorczej wybrany został większością głosów: występujący według starszeństwa pan Jan Mycielski z Wydaw ponownie na przeciąg 5 lat.

Do komisyi rewizyjnej wybrano na następny rok panów: Piotra Umbreita, Stanisława Leitgebra i dra Maryana Głowackiego, a na ich zastępców, panów: dr. Pernaczyńskiego i Ludwika Miklaszewskiego.

Na tem zamknął przewodniczący walne zebranie, poczem zebrani wysłuchali przeczytanego przez pana mecenasa Trąmpczyńskiego notaryalnego protokółu.

Ze sprawozdania za rok 1910 podajemy co następuje:

Miło nam, że i za ubiegły rok 1910 możemy przedstawić korzystne zamknięcie obrachunków, wynik bowiem zeszłorocznej pracy naszej przyczynił się znowu w niemałej mierze tak do znaczniejszego przyrostu stanu zabezpieczeń, jak i do dalszego wzmocnienia finansowego.

Po odłożeniu prawem i statutem przepisanych rezerw i dokonaniu niezbędnych odpisów wynosi **czysty zysk roku obrachunkowego Mrk. 71 986.39,** który podzielony będzie odpowiednio do przepisów § 37 statutu.

Przewyżka ta pozwala Radzie Nadzorczej i Dyrekcyi proponować Walnemu Zebraniu udzielenie członkom zabezpieczonym **18 proc.** dywidendy.

Właściciele certyfikatów otrzymają 4 pr. od czystego zysku, odpowiednio do § 37b statutu, które stanowić będą 15 proc. od wartości kuponu.

Przybytek nowych zabezpieczeń był w roku obrachunkowym większy jak w roku zeszłym.

Nowych wniosków wraz z wnioskami pozostałemi z roku 1909 było do załatwienia w roku 1910 — 1011 na Mrk. 2 776 790 sumy zabezpieczonej (w stosunku do 907 na Mrk. 2 694 078 w roku 1909). Na mocy tych wniosków wygotowano i restytuowano 950 polis na Mrk. 2 482 310 (w stosunku do 837 polis na Mrk. 2 312 036 w roku 1909).

Po odtrąceniu zabezpieczeń upadłych przez śmierć członków, dożycie, odkup polis i zaniechanie opłaty składek, podniósł się ogólny stan zabezpieczeń w końcu roku 1910 na 7123 polis z sumą zabezpieczoną Mrk. 16 612 997 (w stosunku do 6732 polis i Mrk. 15 327 257 sumy zabezpieczonej w roku 1909). Czysty przyrost stanu zabezpieczeń wynosi zatem z końcem roku 1910 — 391 polis na M. 1 285 740.

Śmiertelność pomiędzy zabezpieczonymi spowodowała wydatek M. 239 026 po 99 zmarłych członkach (w stosunku do M. 189 950 po 106 zmarłych członkach w roku 1909).

Nadto wypłaciliśmy na polisy za życia członków płatne w 66 wypadkach Mrk. 100 762.50 (w roku 1909 M. 106 870 w 67 wypadkach).

Od początku istnienia aż do końca roku 1910 wypłaciła nasza instytucya w ogólności: 1) po członkach zmarłych w 2523 wypadkach Mrk. 4 934 840.09, 2) na polisy za życia członków płatne w 515 wypadkach M. 1 025 680.02,

ogółem w 3038 wypadkach Mrk. 5 960 520.11.

Przypadające na rok 1910 **dochody** ze składek wynosiły M. 597 785.75 w stosunku do M. 541 819.67 w roku 1909.

Dochód z procentów oraz czynszu z własnego domu wynosił M. 185 755.70 w stosunku do M. 180 638.89 w roku 1909.

Przeciętna stopa procentowa naszych lokacyi wynosiła 4.19 proc.

Ogólna rezerwa składkowa wraz z rezerwą od zabezpieczeń oddanych w reasekuracyą, ze składkami przeniesionemi oraz rezerwami zabezpieczeń na przypadek wojny, niepobranych cen odkupu i gwarantowanych rent kasy pogrzebowej wynosiła na końcu roku 1910 **Mrk. 4 115 973.31** w stosunku do M. 3 984 702.04 na końcu roku 1909.

Cały majątek (aktywa) naszego Towarzystwa wynosił na końcu roku 1910 Marek 4 615 943.36.

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowało się tylko pismo polskie, bo tylko polskie pismo jest prawdziwym przyjacielem domu polskiego.

— Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić pismo, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— Na Dar narodowy 3-go maja (Dom Polski na Kaszubach) złożono w biurze „Straży“ 833,24 mrk. dotychczas. Dalsze datki przyjmują się.

— Pokwitowanie. Na Czytelnią publiczną w Poznaniu odebrałem od Stowarzyszenia pracownic konfekcyjnych w Poznaniu, zebrane w dniu obchodu Konstytucyi 3-go maja 18 mrk.

Leonard Kostrzeński,
skarbnik Komitetu T. C. L. na miasto Poznań.
Wiedeńska 10.

— W bezpłatnej lecznicy Towarzystwa hygienicznego przy ul. Rycerskiej 28) ordynować będzie odtąd procz dawniejszych lekarzy także panna **Dr. Zniniewiczówna** na **choroby wewnętrzne** i to we wtorki, czwartki i soboty od pół do 9-tej do pół do 10-tej rano.

— Wystawa wiosenna „Stowarzyszenia Artystów“ w stałym lokalu wystawy przy ul. Bismarcka 8 w ogrodzie otwartą jest codziennie od godz. 10-tej do 6-tej (w niedzielę od 11-tej do 4-tej) i zawiera obrazy następujących artystów: Emilii Arendtówny, Feliksa Bagieńskiego, Tadeusza Cieślińskiego, Gustawa Gwozdeckiego, Józefa Graczyńskiego, Ryszarda Gawlikowskiego, Antoniego Gramatyki, Zofii Konopackiej, W. Kahna, Maryi Kremerówny, Karola Wierusz-Kowalskiego, Jana Kopczyńskiego, Maryana Puffkego, Zbigniewa Pronaszki, Adama Malinowskiego, Mieczysława Petryckiego, Kaźmierza Szmyta, Stefana Sonnewendta, Włodzimierza Tetmayera, Michała Wywiórskiego i Władysława Zamiara, oraz rzeźbę Franciszka Flauma, Witolda Bielińskiego. — Wystawa ta, w której bierze udział tyle zdolnych i wybitnych artystów polskich, powinna wzbudzić większe zainteresowanie. — Zachęcamy do licznego jej zwiedzenia. — Wstęp 25 fen.

—— **Odezwa!** Narody o przyszłość swą dbałe, starają się o wychowanie młodszego pokolenia w sile i zdrowiu.

I my nie powinniśmy pozostać poza innymi, i na nas ciąży obowiązek jak najusilniejszych starań o polepszenie warunków bytu tej dziatwie, której niezamożność rodziców dać ich nie może. W takiem położeniu są tysiące polskiej dziatwy szkolnej w Poznaniu.

Kto zajrzał kiedy do mieszkań naszej biedniejszej ludności, zrozumie gorące nasze wołanie o promyk słońca i świeże powietrze dla dziatwy spędzającej życie od niemowlęctwa w ciasnych, światła pozbawionych izbach i w zaduchu pełnych zaułkach.

Czyste, wiejskie powietrze, pobyt śród pól i lasów, posilna zdrowa strawa są dla dziatwy tej prawdziwą krynicą zdrowia, przewyższającą wszelkie leki i zabiegi lekarskie.

Komu więc zależy na tem, aby dzieci uboższej ludności miasta Poznania pokrzepiły się na siłach, niechaj dla nich otworzy gościnnie swój dom.

Z usilną prośbą zatem zwracamy się i w tym roku do naszego ofiarnego zawsze duchowieństwa i ziemiaństwa — o udzielenie gościny na czas wielkich wakacyi dla polskiej szkolnej dziatwy poznańskiej.

W przeszłym roku umieściliśmy zaledwo połowę dzieci zgłaszających się o gościnę, nie dosyć więc znaleźliśmy poparcia. Mamy jednak nadzieję, że w tym roku wołanie nasze głośniejszem odbije się echem i otworzy serca i gościnne podwoje u tych wszystkich, którzy mogą dać dziatwie przytułek w warunkach zdrowotnych, którzy są niejako szafarzami zdrowia i siły.

W tych dniach wyślemy odezwy do szanownego duchowieństwa i ziemiaństwa z prośbą o przyjęcie dziatwy na czas wielkich wakacyi, niezależnie od tego można donosić o gotowości przyjęcia dzieci na ręce **naszego biura** pod adresem sekretarza Towarzystwa: **Jana Suchowiaka**, ul. Piotra 7 (Petristrasse 7) Poznań.

Zarząd
„Stelli“ Tow. Kolonij Wakacyjnych i Stacyi Sanitarnej w Poznaniu.

Wł Jerzykiewicz, prezes. — Walery Łebiński, wiceprezes.
Bol. Ziętkiewicz, skarbnik. — Jan Suchowiak, sekretarz.
Dr. Tadeusz Dembiński, zastępca sekretarza.

Ignatowicz Kajetan. Januchowski Aleksander. Dr. Karwowski Adam. Kolski Alfons. Dyr. L. Osten. Pągowski Tadeusz, Goluń. Seyda Władysław. Hr. Skórzewski Włodzimierz, Czerniniejewo. Ks. prałat Styczeł. Winiewicz Józef. Żółtowski, Słupy.

— Książkowość dla przemysłowców. Z polecenia Zarządu Związku Towarzystw Przemysłowych odbędę

w poniedziałek, dnia 12-go czerwca r. b. o godz. 11-tej przed południem

w Poznaniu, w Domu katolickim, św. Marcin 69, na parterze, pogadankę o książkowości z panami, którzyby następnie w swem miejscu zamieszkania zechcieli i mogli udzielać nauki książkowości.

Z tego powodu upraszam Szanowne Zarządy Towarzystw Przemysłowych o łaskawe jak najprędsze doniesienie mi, czy i kto przybędzie na wspomnianą pogadankę.

Jak z jednej strony żadne Towarzystwo za tę pogadankę nie będzie potrzebowało do kasy Związku nic zapłacić, tak z drugiej strony kasa Związku nie zwraca żadnych kosztów.

Pogadanka potrwa (z półgodzinną obiadową przerwą), o ile można przewidzieć, około 6 godzin, w żadnym razie nie dłużej, jak do 6-tej wieczorem. Za podstawę pogadanki służyć będzie podręcznik, przezemnie ułożony; niezbędnem jest zatem, by **każdy** z uczestników zechciał sprowadzić sobie **już teraz** ten podręcznik i już teraz go przestudyować. Podręcznik nabyć można w Administracyi „Przemysłowca,“ Poznań, Wielkie Garbary (Posen. Gr. Gerberstr.) 47; przy zamawianiu nadesłać należy jako cenę podręcznika i porto 2,25 mrk.

W. Wyczyński,
Poznań, pl. Wilhelmowski 18. III.

Wszystkie pisma prowincyonalne uprasza się o zamieszczenie powyższej odezwy — w dziale wiadomości potocznych.

— Na wielką „ucztę ludową,“ która odbędzie się dnia 25-go maja w ogrodzie „San Domingo“ przy drodze dębińskiej, staraniem pan św. Wincentego a Paulo w Poznaniu na Wildzie zaprasza Zarząd Towarzystwa i prosi gorąco o pomoc materyalną w gotówce lub naturaliach, również o zasilenie bufetu i o żywe fanty jako to: jagnięta, kozy, króliki, prosięta, drób, gołębie, miód, owoce i t. d. Adres do przesyłek: Swinarska, przewodnicząca Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, Poznań-Wilda, ulica Krzyżowa (Kreuzstr. nr. 7.) Pokwitowanie i podziękowanie ogłosimy w gazetach.

— Drezno. W niedzielę dnia 21-go maja urządza Towarzystwo Przemysłowców wspólną wycieczkę w uroczą okolicę Drezna Nieder-Loessnitz ogród Jaegerhof. Komunikacya dogodna koleją elektryczną z placu pocztowego do Mickten. Początek o godzinie 3-ciej po południu.

Program dość urozmaicony, a mianowicie strzelanie do tarczy, główna premia drogocenny zegarek kieszonkowy.

Dla pań różne gry towarzyskie również wysokie premie.

Po zachodzie słońca zabawa taneczna na sali.

Jako niespodzianka w celu ułatwienia niezwykłego szybkiego powrotu do domu stać będzie do dyspozycyi aeroplan poprawnej najnowszej konstrukcyi inżyniera Polaka, doświadczonego awiatyka, który obecnością swą gwarantuje za bezpieczne odstawienie do samego mieszkania.

Szanownych ziomków przebywających w Dreźnie lub okolicy, a mających chęć miłego spędzenia godzin kilka wśród swoich, pozwalamy sobie prosić uprzejmie o łaskawy liczny współudział.

W imieniu Towarzystwa Przemysłowców
Komitet zabawy.

— Towarzystwo Polskich Ogrodników na Berlin i okolicę, odbywa swe posiedzenia w każdy czwartek po 1-szym każdego miesiąca w Charlottenburgu w lokalu p. Slachciaka Schlossstr. 32. Wszelkie korespondencye uprasza się przysyłać na ręce prezesa p. T. Bukowskiego w Grunewald — Berlin Königs-Allee 35.

— Związek Rodu Szlacheckiego Zaleskich w Warszawie, ul. Bednarska 17. Do roku zalegalizowanego Statutu Związku Rodu Zaleskich dotąd przystąpiło 60 rodzin pieczętujących się 8 herbami. Do Związku przyjmujemy i nielegitowanych o ile wykażą wykształcenie średnie lub wyższe. Zgłaszających się mamy nie tylko z Kongresówki i krajów zabranych nawet i z Ameryki, tylko Poznańskie nie odezwało się dotąd.

Związek wzajemnej pomocy rodu szl. Zal.

oprócz zbliżenia i pielęgnowania poczucia rodzinnej spójni ma na celu pomagać moralnie i materyalnie swoim członkom.

Doroczne walne zebranie odbędzie się dn. 28-go maja 1911 r. w Warszawie Krak. przedmieście nr. 66. Do Związku kosztuje wpisowe 10, a składka roczna 6 rubli.

E. Zaleski, prezes Związku.

— **Wystawa Towarzystwa Terminatorów w Buku.** Towarzystwo Terminatorów w Buku urządziło dnia 7, 8, 9 i 10-go maja wystawę robót terminatorskich w tym celu, aby młodzież rzemieślniczą zachęcić do jaknajwiększego wydoskonalenia się w swojem rzemiośle, a powtóre, aby dać pogląd na poziom rzemiosła w naszem mieście.

Towarzystwo Przemysłowców w Buku zajęło się szczerze tą wystawą, bo uchwaliło z swego funduszu 150 marek na nagrody za dobre wyroby terminatorów, a cały Zarząd Tow. Term. służył chętnie radą i pomocą około przygotowania i urządzenia wystawy. Zaznacza się tu także z wdzięcznością, że także Związek Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu ofiarował na cel naszej wystawy 20 marek. To też wystawa, mimo skromnych swoich rozmiarów, wystawiono bowiem razem 31 przedmiotów wykonanych przez 26-ciu terminatorów, udała się pomyślnie i dowiodła, że w naszem mieście rzemiosło się rozwija i doskonali, i że na wysokim, jak na małe miasto, stoi stopniu rozwoju. Terminatorzy wszystkich rzemiosł z wyjątkiem piekarskiego, brali udział w wystawie. Zwiedzającym wystawę najwięcej w oczy wpadały i w podziw wprawiały wyroby ślusarskie, kowalskie, stolarskie i rzeźnickie, choć i inne rzemiosła wyrobami swoich terminatorów powstydzić się nie potrzebowały. Komisya zebrana celem oceny wyrobów z pomiędzy mistrzów przyznała **nagrodę nadzwyczajną:** 1) Kazimierzowi Stankowskiemu, uczniowi szewskiemu mistrza szewskiego p. Fr. Górczaka za parę długich bótów, 2) Stan. Malinowskiemu uczniowi kowalskiemu mistrza kow. p. Stef. Malinowskiego za obcęgi do kucia koni i pług.

Nagrodę pierwszorzędną otrzymali: 1) Jan Pawlak, ucz. kraw. mistrza kraw. p. Musiała za parę spodni, 2) Leon Szymański, ucz. ślus. masz. p. Stef. Malinowski, ślus. maszynisty za klucz do skręcania rur; 3) Stan. Puzicki, ucz. ślus. masz. p. Stef. Malinowskiego, ślus.masz. za cyrkiel do mierzenia objętości i średnicy; 2) Wojciech Czapczyk, ucz. kow. mistrza kow. p. Ant. Krügera za topór kołodziejski, 5) Władysław Rura, ucz. szewski mistrza szew. p. Bociana za parę długich butów; 6) Czesław Brzeziński, ucz. blacharski mistrza blach. p. Reinigera za maszynkę do kawy parzenia; 7) Stan. Piaskowski, ucz. rzeźn. p. Andrzejewskiego za pasztet; 8) Stan. Czub, ucz. kołodz. mistrza kołodz. p. Dziembowskiego za spód do bryczki; 9) Szczepan Kostrzyński, ucz. stol. mistrza stolarsk. p. K. Wąsowicza za szafkę pod lustro.

Nagrodę drugorzędną otrzymali: 1) Józef Lissowski ucz. cuk. p. Michalskiego, cukiernika za tort; 2) Ignacy Szymański, ucz. kraw. mistrza kraw. p. Andrzejewskiego za kamizelkę i marynarkę; 3) Fr. Wilczak, uczeń szewski mistrza szewsk. p. Walentego Dybizbańskiego za parę trzewików; 4) Stanisł. Czapczyk, ucz. kow. mistrza kow. p. K. Bręszkiewicza za toporek; 5) Wład. Dybizbański, ucz. rzeźn. mistrza rzeźn. p. Wincentego Dybizbańskiego za dwie kiszki brunszwickie; 6) Ignacy Zieliński, ucz rzeźn. mistrza rzeźn. p. Szczepana Dybizbańskiego za dwie serwelatki; 7) Stan. Kubicki, ucz kołodz. mistrza kołodz.. p. Dziembowskiego za koło; 8) Fr. Rotnicki, ucz. bednarski mistrza bednarskiego p. A. Kłonickiego; 9) Wal. Bociański, ucz. stol. mistrza stol p. F. Bociańskiego za stół.

Pochwałę otrzymali: 1) Józef Melerowicz, uczeń malarski mistrza malarskiego p. T. Melerowicza za dwa obrazy i dwa napisy; 2) Stan. Herra, ucz. kow. mistrza kow. p. Stef. Malinowskiego za brony; 3) Franc. Olejniczak, za salseson; 4) Ludwik Piszczyński, ucz. ucz. rzeźn. mistrza rzeźn. p. Andrzejewskiego rzeźn. mistrza rzeźn. p. W. Dworzyńskiego za wątrąbiankę; 5) Piotr Kortus, ucz. rzeźn. mistrza rzeźn. p. W. Dworzyńskiego za kiełbasę; 6) Piotr Wąsowicz, ucz. stol. mistrza stol. p. K. Wąsowicza za łóżko angielskie.

Zarząd Towarzystwa Terminatorów.

Nekrologia.

† Ś. p. **Leon Barcikowski,** dnia 10-go b. m. w Poznaniu, w 85-tym roku życia. — **Ś. p. Zygmunt Rembowski,** dziedzic Nowej Wsi w gubernii Kaliskiej, w Królestwie Polskiem, dnia 10-go b. m. — **Ś. p. Walerya z Szalczyńskich Albinowa Gruszczyńska,** dnia 11-go b. m. w Poznaniu, w 78-mym roku życia. — **Ś. p. Jan Dziurzyński,** dnia 9-go b m. w Berlinie, w 47-mym roku życia. — **Ś. p. Melania Gajewska,** dnia 13-go b. m. w Poznaniu, w 74-tym roku życia. — **Ś. p. Izabela Ruszczyńska,** dnia 14-go b. m. w Karminie pod Pleszewem. Pogrzeb odbył się dnia 17-go b. m. w Pleszewie. — **Ś. p. Marya z Szafrańskich Grochowiczowa,** dnia 13-go b. m. w Roszkach. Pogrzeb odbył się dnia 16-go b. m. w Jankowie Zaleśnem. — **Ś. p. Amalia z Boninów Przewoska,** dnia 14-go b. m. w Brusach, w Prusach Zachodnich, przeżywszy lat 69. — **Ś. p. Wojciech Jarochowski,** słuchacz prawa, syn zmarłego profesora Wojciecha Jarochowskiego i Jadwigi z Morawskich, dnia 15-go b. m. w Poznaniu, w 22-gim roku życia. — **Ś. p. Jadwiga z Wiśniewskich Kotlińska,** dnia 14-go b. m. w Promnie, przeżywszy lat 51. — **Ś. p. Agnieszka z Jędrzewskich Spychalska,** dnia 14-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 51. — **Ś. p. Walenty Piwkowski,** dnia 14-go b. m. w Toruniu, w 63-cim roku życia. — **Ś. p. Zofia Kierzkowska,** dnia 15-go b. m. w Gnieźnie, w 35-tym roku życia. — **Ś. p. Józef Tomaszewski,** dnia 15-go b. m. w Berlinie, w 41-ym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

Na listy anonimowe nie odpowiadamy.

— **„Sfinks.“** — Nadesłana łamigłówka jest zbyt skomplikowana, więc nie zamieścimy.

— **Pani Anieli K. na prowincyi.** — Wyrażenie „graty“ w naszych dopiero czasach uznano za pogardliwe. Pierwotnie wyraz ten znaczył to samo, co „wyprawa ślubna,“ a przyjęty został z niemieckiego „Gerade,“ użyty zaś, prawdopodobnie po raz pierwszy w przekładzie na język polski praw magdeburskich. Czytamy tam bowiem: „Gieraty, są to rzeczy, którekolwiek pannie idącej za mąż ku ochędożności jej przy posagu dają — nazywają też tem słowem sprzęt domowy, a pospolicie zowią Grat.“

— **Samoukowi.** — Zasada ogólnie przyjęta jest: „niema“ pisze się razem, gdy oznacza „nie jest;“ przeciwnie zaś „nie ma,“ gdy „nie“ użyte jest jako przeczenie przy słowie „mieć.“ A więc: „on nie ma pieniędzy,“ lub też „niema go w domu.“

— **Niewiadomemu poecie:**
„Z Pańskiego wiersza redaktor nie rad,
„Bo zawierał prócz błędów wiele wad,
„Spoczął więc w koszu na wieczne czasy,
„Na nic się zdadzą Pana grymasy.“

— **Panu W. K. w G.** — Patrz powyższą odpowiedź.

— **Gimnazyaście.** — „Objet d'art“ znaczy dosłownie „przedmiot sztuki.“ W znaczeniu powszedniem używa się na oznaczenie drobnych przedmiotów, mających cechę artystyczną.

Nowe książki i treść pism.

— **„Gryf,“** pisma dla spraw kaszubskich nr. 3-ci (na miesiąc marzec zawiera:

Pisownia kaszubska. — Ludność kaszubska w ubiegłem stuleciu. — Bajki kaszubskie. — Pieśni kaszubskie (Frantówci). — Z wycieczki po ziemi zaborskiej. — Prasa niemiecka a Kaszubi. — Piesnie północne. — Kronika. — Pisma peryodyczne, nadsyłane na wymianę. Adres wydawnictwa „Gryf,“ Kościerzyna (Berent Wpr.)

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Rocznik XIII. Maj 1911. Część pierwsza: 1. (f). Wybory w Galicyi. 2. Dr. M. Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań 3. Dr. Emil Breiter: Filozofia społeczna Jerzego Sorela. 4. Prof. Jan Baudouin de Courtenay: W sprawie „antysemityzmu postępowego“. 5. Junius: Współcześni politycy polscy. XXV. Prof. Wł. L. Jaworski. 6. Przegląd: I. Sprawa Rapperswilska. II. K. B.: Z ruchu kobiecego. 7. Sprawozdania. — Część druga: 1. T. Miciński: Miłości i melancholii świątynia. 2. Kaz. Bleszyński: „Trzecie państwo.“ 3. St. Szadurska: Z nowszej poezyi włoskiej. Przekłady. 4. F. Woroniecki: Nowe dramaty. 5. W. Sieroszewski: Dary wiatru północnego. 6. J. Kleczyński: Leon Wyczółkowski. Charakterystyka. 7. Przegląd: I. Z prasy artystycznej i literackiej. II. T. Charzewski: Z muzyki. (Pokłosie roku jubileuszowego). III. Mungo: Ruch artystyczny we Lwowie. IV. (x): Teatr krakowski. 8. Sprawozdania. Nowe powieści. — Z badań historyczno-literackich. Dodatek artystyczny: Leon Wyczółkowski: Portret Stef. Żeromskiego. — Rybak. — Krajobraz.

Reklamy.



Fot. Atelier „Rubens“ dawn. E. Mirska w Poznaniu.

Uczestnicy uroczystości złotego jubileuszu Banku Przemysłowców w Poznaniu

odbytej dnia 13-go b. m.

Drukiem „Pracy“.



Wniebowstąpienie Pańskie.



Dział kobiecy.

Dzielna kobieta.

Na horyzoncie literackim Francyi zabłysła nowa gwiazda: nieznane dotychczas nazwisko Małgorzaty Audoux zajaśniało blaskiem pierwszorzędnym.

Jest to szwaczka, która przeszła wszystkie piekła głodu, nędzy i cierpienia, a mimo to, dzięki wielkiej energii, wytrwałości i odwadze, zdołała przezwyciężyć wszystkie przeszkody i stać się autorką „Maryi Klary“ arcydzieła, sławionego przez wybitnych pisarzy.

Dzielna to kobieta, mieszka na nędznem poddaszu w Paryżu, w dzielnicy Montparnasse; igłą zarabia na życie. Do jej wrót ubogich zapukała sława: biedna robotnica stała się odrazu sławną przez swój pierwszy, świetny literacki debiut. Oktawiusz Mirbeau napisał wstęp do „Maryi Klary,“ z którego cytujemy wyjątki:

„Jest to dzieło świadczące o wytwornym smaku. Jego prostota, prawda, wielka subtelność, głębia i nowość poruszanych tematów wywierają potężne wrażenie.

Teren, na którym się akcya rozgrywa, przedmioty, krajobrazy, ludzie, wszystko to jest zarysowane niezmiernie plastycznie, wszystko to żyje, i zatrzeć się w pamięci nie daje. Niepodobna wyobrazić sobie bardziej malowniczego, barwniejszego, według doskonalszego planu zbudowanego opowiadania. Szczególnie zadziwia nas, i podbija siła akcyi wewnętrznej. Nad całą książką zdaje się jaśnieć łagodne światło, jakby promienie słoneczne w piękny letni poranek.“

Pewien dziennikarz paryski zainteresowany, w jaki to sposób mógł się rozwinąć talent literacki w Małgorzacie Audoux, niegdyś dziewce folwarcznej, poprosił ją o interwiew i zebrał garść ciekawych szczegółów.

Wcześnie osierocona Małgorzata wychowywała się w klasztorze, w którym więcej dbano o to, żeby ciągnąć zyski z pracy dziewcząt niż, żeby je uczyć czytać. — Później pasała owce i świnie w okolicach Sologne; jakiś czas przebyła w Bourges, gdzie reparowała stare ubrania — aż nareszcie zdecydowała się jechać do Paryża. Przybyła tam, w ośmnastym roku życia z piętnastoma centymami w kieszeni. Na razie znalazła zarobek u pewnej szwaczki, potem była robotnicą fabryczną w Vincennes z płacą 2 fr. 50 ct. dziennie, aż wreszcie osiadła w Paryżu, i zaczęła szycie przyjmować do domu. Wtedy w rzadkich chwilach wolnych, dla odpoczynku i przyjemności, Małgorzata Audoux zaczęła spisywać co widziała, zaobserwowała, zanotowała w pamięci, opisując biednych ludzi, wśród których żyła dotychczas, i sceny tak dobrze jej znane, które niejednokrotnie rozgrywały się w jej oczach.

Pierwsza część „Maryi Klary“ jest jakby autobiografią; druga składa się z obserwacyj życiowych, z tego, co sama odczuła i przeżyła; trzecia część zawiera właściwe pierwiastki powieściowe, chociaż fabuła nie jest wyłącznie tylko tworem wyobraźni, lecz zawiera dużo wspomnień osobistych.

Małgorzata Audoux tłómaczy w jaki sposób rozwinęły się w niej upodobania literackie. Od najwcześniejszej młodości—opowiada w „Maryi Klarze“,—czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, aż nagle zbudziła się w niej chęć pisania. Poznała się z literatem Karolem Louis Philippe, który pocho-

dził z pobliża jej kraju rodzinnego; pokazała mu swoje próby pisarskie, nagryzmolone spostrzeżenia i uwagi często rojące się od błędów ortograficznych. Louis Philippe zachęcał ją do dalszego pisania, lecz wkrótce umarł, a zeszyty „Maryi Klary“ byłyby może dotychczas zostały nieznane, gdyby pewien uprzejmy literat nie był ich pokazał Oktawiuszowi Mirbeau.

Kończąc swe opowiadanie Małgorzata Audoux powiedziała: że „Marya Klara“ będzie miała ciąg dalszy, ale nie prędzej, jak za półtora roku, lub nawet za dwa lata. „Moją pierwszą książkę pisałam pięć lat, a teraz nawet żałuję, że za prędko ją wydałam. Następną powieść osnuję na życiu robotnic, a dopiero trzecia z kolei praca będzie ciągiem dalszym „Maryi Klary.“

W ten prosty i skromny sposób opowiada o swem życiu i cierpieniach przeszłych i nadziejach na przyszłość ta dzielna kobieta z ludu, która własną siłą, dzięki swej wytrwałości i odwadze zdołała zwrócić uwagę szerokiego ogółu na swój talent.

Wobec tej nowej sławy literackiej myśl zwraca się mimowoli ku tym wszystkim nieznanym i zmarnowanym talentom, zduszonym nędzą, które mogłyby zabłysnąć przy sprzyjających okolicznościach.

* * *

Zalety kobiece.

Jeden z dzienników paryskich urządził konkurs na odgadnienie: Jaka jest najwięcej ceniona zaleta w kobiecie?

Odpowiedzi płyną masami i tworzą już statystykę, imponującą przez nagrodzone liczby. Oto kilka danych z ostatniego wykazu:

Dobroć	36,254	odpowiedzi
Porządek	34,878	„
Przywiązanie	33,796	„
Oszczędność	30,558	„
Łagodność	24,368	„
Inteligencya	19,046	„
Uprzejmość	18,578	„
Wierność	17,192	„
Cierpliwość	16,858	„

Na tej liście zresztą są pomieszczone i cnoty — wątpliwe. Naprzykład: pokora, albo duma. Co prawda znajdują się one na szarym końcu listy, pierwsza z nich zdołała bowiem zgromadzić ledwo 214 głosów, a druga — tysiąc. Sąsiadują te dwie szczególne cnoty obok umiarkowania, które może się pochwalić ledwie 350 głosami i pracowitości, które ceni w kobiecie ledwie 216 osób.

Również nie bardzo poważana jest dokładność, a mniej jeszcze bezinteresowność. Natomiast znacznie wyżej ceniona się okazała skromność, a dalej wesołość, energia i prostota. W pośrodku między rozmaitemi zaletami postawiono obok siebie: rezygnacyę i subtelność.

A chcecie wiedzieć, ile cnót znajduje się na tej liście?

Sześćdziesiąt

Bagatela. Sześćdziesiąt?! Kobieta doskonała musiałaby je mieć wszystkie. Osądźcie, proszę, czy to jest tak łatwo?!....

* * *

Angielskie Mormonki.

Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie, jest przecież faktem, iż mormonizm w Anglii — mimo zaciętej kampanii prasy i państwa — zwłaszcza wśród kobiet rozszerza się w zastraszający sposób. Skoro tylko nastanie wiosna, opuszczają Anglię setki dziewcząt i kobiet w wieku od 18 do 20 lat, ciągnąc rzekomo za służbą do Ameryki, a właściwie do Stanu Utah, siedziby Mormonów. Tutaj pod nazwą „służących“ zostają ubocznemi żonami Mormonów, albowiem wielożeństwo — mimo wszystkie urzędowe nawet zaprzeczenia — kwitnie wśród Mormonów w najlepsze. Wprawdzie prawa amerykańskie dozwalają swym obywatelom na posiadanie tylko jednej prawowitej małżonki, mimo to Mormonowie utrzymują tyle żon, ile chcą, a właściwie ile wyżywić potrafią. Każda z nich ma osobne mieszkanie i przebywa w niem stale, oczekując wizyty małżonka.

Obrzęd zaślubin — naturalnie potajemny — odbywa się, rzecz szczególna, pod przewodnictwem pierwszej żony, która wobec prawa uchodzi za jedyną. Ona to oddaje następne małżonki swemu władcy, ona wkłada im na palce pierścień zaręczynowy, ona w końcu dokonuje symbolicznego aktu zaślubin, wkładając wśród specyalnych ceremonij rękę oblubienicy w rękę nowożeńca.

Kapłani Mormonów starają się utrzymać kobiety pod stałą swą moralną władzą i przewagą; głoszą stale, iż zbawienie tym tylko kobietom przypadnie w udziale, które jak najwięcej mają dzieci; mężczyznom tym tylko, którzy jak najwięcej posiadają małżonek. Nic dziwnego więc, że sekta ta coraz więcej zyskuje zwolenniczek i rośnie w potęgę i wpływy.

Rząd angielski teraz dopiero poznawszy destrukcyjny wpływ mormonizmu, zamierza jak najostrzej wystąpić przeciw tajemnej agitacyi jego apostołów.





Za co przepraszamy?

Pomimo, że skromność i uprzejmość nie zanadto w świecie są rozpowszechnione, to jednak pod względem „przepraszania“ doszliśmy do niezwykłej doskonałości!...

Przepraszania te odgrywają mianowicie w życiu towarzyskiem bardzo ważną rolę, a że nie można im bezwarunkowo wierzyć, przeto należałoby je albo zupełnie pominąć, albo ograniczyć na najmniejsze i na prawdzie polegające rozmiary.

Bo wszystkie przepraszania nie mają sensu.

Co nam n. p. goście nasi mają wybaczyć, za co przepraszamy ich tak bardzo?

Za schody niewygodne, za ciasne mieszkanie, za skromne przyjęcie i tak dalej aż do nieskończoności — za wszystko musimy ich przepraszać!

A może ofiarowaliśmy im już więcej, niż stosunki nasze na to pozwalają!

Czy wogóle trzeba przepraszać za to, że nie jesteśmy bogaci, i że musimy się w wydatkach ograniczać?

„Kiep ten, kto daje więcej, niż ma!“ Tak mówi staropolskie przysłowie!

Czy nie bylibyśmy więcej niż nierozsądni, gdybyśmy przez wzgląd na innych żyli nad stan i zadłużali się?

Przecież nie mielibyśmy żadnej przyjemności w obcowaniu z znajomymi i przyjaciołmi, gdybyśmy w myśli zawsze z strachem liczyli każdy grosz, wydany za wiele! Jakim sposobem powetować te straty!

Nie! Człowiek uczciwy i przyzwoity występuje tak, jak mu stać na to, i jak wobec swego sumienia odpowiadać może. Nie zaprasza też gości, których za wszystko przepraszać musi!

Kto niechętnie przychodzi do nas i kto nie zadowoli się tem, czem go ugościć możemy, ten niech lepiej wcale nas nie odwiedza — na niebywaniu jego u nas nie wiele pewnie tracimy!

Panie przepraszają gości za to, że przyjmują ich w codziennej, domowej sukni, albo za to, jeżeli goście je przy pracy zastaną! Czy gospodyni domu ma zawsze, odświętnie ustrojona, czekać na wizyty? I czy dla tego żadną się już pracą zajmować nie może? Po co więc przepraszać?

Na zwiadach.

Czy musimy przepraszać, jeżeli nie możemy brać udziału w kosztownej rozrywce, lub jeżeli na cel dobroczynny nie możemy dać tyle, ile dają ludzie bogaci?

Z pewnością nikogo przepraszać za to nie potrzeba!

Nikt pewnie jeszcze nie przepraszał za złe maniery, za brak talentów lub wykształcenia!

Czemu więc przepraszać zawsze za rzeczy zewnętrzne? Czy te rzeczywiście o tyle więcej są warte?

Życie daje nam tyle sposobności do proszenia bliższych z całego serca o przebaczenie, że możemy się doskonale obejść bez owych powierzchownych, nierozsądnych przeproszeń, w które nikt na seryo nie wierzy!

M. P.



Na przyzbie.

Jesteśmy w maju już po dniach krytycznych,
Gdyż nawet pierwsze odbyły się grzmoty...
W powietrzu pełno woni balsamicznych
I nastrój jakiejś przedziwnej tęsknoty
Za czemś, co tylko o majowej porze
Budzić się w ludzkich sercach śmie i może!

Rozlega się jakieś nieuchwytne veto,
Za łzy wylane, niedolę, zwątpienia...
Ziemia zakwitła kwiatem i kobietą,
Po bzach liliowych snują się marzenia,
Dokoła zieleń i błękit bez końca,
A na błękicie złoty motyl — słońca!

Ten motyl także, jakby rozmarzony
Tem, co na ziemskim ogląda padole,
Czasem pochyla rąb złotej korony
I na zielonem drzew kładzie ją czole,
Jakby chciał zlecieć i objąć te echa,
Do których chyba sam Bóg się uśmiecha!

Bo komużby się dusza nie zaśmiała
W majowe rano, rosą operlone,
W majowe rano, kiedy ziemia cała
Jak serce wielką miłością czerwone,
Wszystkie zachwyty w skrach rozbrzasku pije,
Jak serce kocha, i jak serce... bije!

Majowe rano... Widma szmaragdowe...
Kwiat bzów... Pieściwy uścisk lubej dłoni...

Jakaś baśń złota... jakiś sen tęczowy...
Odmęt uczucia, porywów i woni!
Sursum! i jakaś chwila zapomnienia
O wszystkich bólach życia i istnienia!
EL.



Pączek wiosenny.

Tylko co ujrzał światło dzienne, trwożnie rozglądając się po świecie.

Promień słoneczny był mu ojcem, matką cudna wiosna, ustrojona we wszystkie swe królewskie wdzięki, ozłocona niby aureolą, światłem swego potężnego małżonka.

Promień słoneczny przez długie miesiące zimowe starał się o względy swej ukochanej, lecz śpiącej rozbudzić nie mógł, choć korzystał z każdej chwilki, w której chmurki — troski nie zasłaniały ukochanego oblicza.

W każdem jego spojrzeniu czytano:

Kochana, zbudź się!... Czyż nie widzisz jak tęsknię do ciebie...

Długo promień słoneczny kołatał do serduszka wybranej, by rozbudzić uczucie.

Trzymana w niewoli przez matkę zimę, naprożno rwała się do życia, chłód zimy mroził jej młodzieńcze zapędy.

Lecz, gdy promień słoneczny z każdym dniem goręcej patrząc na wiosnę, pieścił ją swym wzrokiem — miłość wytrwała zwyciężyła.

Świeża, wonna, cudowna wiosna poddała się swemu oblubieńcowi.

Głosiły o tem całemu światu słowiki i skowronki, pierwiosnki i źdźbła leśne szeptały radośnie:

Przepiękni! Bądźcie szczęśliwi, żyjcie długo...

Wtedy to narodził się pączek jabłoni. Z początku nieśmiało i niezgrabnie wychylił główkę ze spowicia, lecz z dniem każdym rósł w wielkość i krasę.

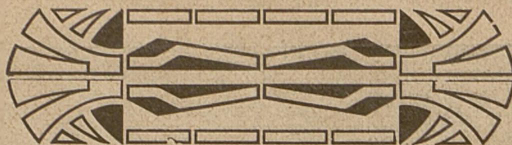
Wszyscy mówili: prześliczny, cudowny!...

Dziecię miłości prawdziwej.

Pączek wciąż stawał się piękniejszym, napawając dumą swą matkę wiosnę i chyląc płatki do pocałunku ojcowskiego.

Śliczny pączek jabłoni, pod troskliwą opieką rodziców, wyrósł z czasem na wspaniały owoc miłości.

Marya Sienkiewiczówna.



Kwiaty w nabożeństwach majowych.

Znamienną dla uroczystości na cześć Najświętszej Panny jest w czasie majowym okoliczność, że ołtarze i obrazy Matki Bożej, nawet ołtarzyki w domach katolickich zamieniają się w ogród kwiatów, które pobożni składają u stóp Przeczystej Dziewicy. Ta wonna danina ma swoje głębsze znaczenie.

Kwiaty zajmują wśród tworów Boskich odrębne stanowisko. Są one na kuli ziemskiej mniej więcej tem, czem są gwiazdy na sklepieniu niebieskiem: niezamąconemi śladami dawnego świata rajskiego, mniej dotknięte klątwą grzechu. W swej wspaniałości barw i swej przecudnej woni są nam one dowodami dobrotliwości i łaskawości Stwórcy. Dlatego to ofiarujemy kwiaty tym, których kochamy i czcimy, składając im w dani to, co możemy dać najlepszego, najszlachetniejszego.

A komuż mamy składać tę wonną daninę, jeśli nie Matce naszej w niebie? Dlatego tak samo, jak kadzidło i światło przy nabożeństwie, służą również kwiaty za pobożną ozdobę. Komuż lepiej przystoją kwiaty, jeżeli nie Tej Przeczystej, która sama jest kwiatem, co wydał owoc, niweczący klątwę, a przynoszący nam błogosławieństwo? Dlatego też Kościół święty przeznacza Najświętszej Pannie najpiękniejsze i najwonniejsze kwiaty, które sławi Pismo św. Kościół sw. sam zowie Maryę królową wśród kwiatów i wysławia ją jako „Lilię wśród cierni.“

Lilia jest obrazem czystości, a Najświętsza Panna jest najczystszą, niepokalaną, bez zmazy grzechu poczętą, jest Dziewicą, której nie skaziło ani tchnienie. Jest Ona lilią wśród cierni, które swemi kolcami i ostrzami stanowią przeciwieństwo z kwiatami, zwłaszcza z delikatną, śnieżno-białą, wonną, wysmukłą lilią.

Będąc sama najczystszą i najświętszą, wywiera też z swej chwały niebieskiej moc oczyszczenia i uświęcenia na cały okręg ziemski, który wedle widzenia św. Dominika, otula płaszczem miłości. Budzić czystego i pobożnego ducha — to dzieło Maryi przez Jej modlitwę i Jej przykład. Prowadzić życie czyste i pobożne — to zadanie jej wielbicieli.

Z lilią w ręku zstępuje do Niej Archanioł Gabryel, z lilią w ręku stoi św. Józef przy Jej boku.

Marya jest także niebieską królową róż, która obok lilij czystości niepokalanej wyhodowała w swem sercu także róże miłości Boga i bliźniego. Żadne stworzenie nie pałało taką miłością, jak Boża Rodzicielka, która wydała na świat Syna Bożego i stała pod jego krzyżem.

Lilie czystości, róże modlitwy i miłości — oto kwiaty, które składamy Matce Bożej, Królowej korony polskiej, w maju, tym miesiącu Maryi.



Wiosenna pieśń.

Hej, już zieleń na wygonie,
Na wierzbinie kotki,
Zapachniało kwieciem błonie,
Zaśpiewały wodne tonie,
Zagrały opłotki.

Grają żaby nad jeziorem,
Szczyglik w krzaku drze się!
Płyną echa rozhoworem,
I kukułka woła borem:
Może szczęście niesie!...

Raz... trzy... cztery... „mendel“ cały!
Danaż moja, dana!...
I fujarki się ozwały,
Dzwoni śpiewka: „Konik biały!“
„Dziewczyna kochana!“

Dzwoni śpiewka: „Warkocz płowy!...“
„Konik nóżką grzebie...“
Graj kukułko, graj z dąbrowy!
Choćby dzisiaj, jam gotowy
O proszonym chlebie!

Choćby przyszło w głodzie, chłodzie,
W biedzie, poniewierce —
Byle przy niej, przy jagodzie —
Niechby, niechby o zachodzie
Odetchnęło serce!

Ml.

Jest pewny kres wszystkiego, nawet i swywoli,
Której nigdy przestąpić honor nie dozwoli.
Al. Fredro.

* * *

Przeklęte głowy, które fałsze kreślą,
I ten, co język swój bluźnierstwem zmazał.
Elżbieta Drużbacka.

* * *

Raz tylko dyabła wpuść do swego domu,
A raj ci w piekło zamieni.
Fr. Morawski.



Pieśń majowa.

Z dziedziny hygieny.

Bezsenność u dzieci.

Bezsenność, tak często spotykana u dzieci, zależną bywa od chorobliwego stanu żołądka. U niemowląt więc należy wprowadzić systematyczne karmienie w ściśle oznaczonych godzinach i nie karmić dziecka dla uspokojenia, gdy tylko zapłacze.

U dzieci zaś starszych trzeba przedewszystkiem zwrócić uwagę na często zdarzające się przeładowanie żołądka i wykluczyć zupełnie używanie wina, piwa, kawy i herbaty. Jako napój dziecko powinno otrzymywać wyłącznie mleko i wodę i przytem w ilości najwyższe 200 do 250 gramów (mniej więcej całą szklankę) naraz.

Wieczorny posiłek powinien być lekki. Najlepiej dać dziecku na kolacyę talerz jakiejkolwiek zupy i szklankę mleka.

Niektóre dzieci źle sypiają, gdy im się daje zadużo mięsa. Mięso należy dawać raz tylko dziennie na obiad. Również należy ograniczyć ilość spożywanych w ciągu dnia pokarmów. Są potrawy, które dzieci pochłaniają bez umiarkowania. Szczególnie godnem polecenia jest zupełne niedawanie wieczorem żadnych ciast lub słodyczy.

Jeżeli dzieci nie śpią a bezsenność jest powodowana nie jakiemibądźkolwiek zaburzeniami w trawieniu, lecz wyłącznie stanem nerwowym — przedewszystkiem należy stosować ciepłe kąpiele o temperaturze 30 st. i trwające 20 do 25 minut. W pewnych wypadkach działają dobrze krótkotrwałe obmywania całego ciała wodą zimną: czasem bardzo dobrze działa prysznic. Ze środków domowych, które można zastosować przy bezsenności u dzieci, poczynając od 3. roku życia, zalecić można napar kwiatu lipowego, kwiatu pomarańczowego i t. d.

Łyżka stołowa lub dwie, stosownie do wieku, pomienionych płynów sprowadza bardzo często sen. Gdy środki te zawodzą, wprost byłoby bardzo ryzykowne, gdyby rodzice dawali jakiekolwiek środki lecznicze nasenne bez przepisu lekarza.

Unikać należy odwaru makówek, gdyż jest on trujący.

* * *

Nadmierne pocenie się nóg.

Jest to przypadłość bardzo przykra, a w dodatku przy złem pielęgnowaniu nóg — bywa przyczyną zaburzeń w organizmie.

Najlepszym środkiem usuwającym tę przypadłość jest formalina.

Sposób postępowania jest następujący: po dokładnem obmyciu i wysuszeniu nóg wciera się 10% wodny roztwór formaliny za pomocą długiego pędzla w skórę podeszwy 3 razy dziennie (rano, w południe i wieczór) w ciągu dwóch dni; w skórę grzbietową palców i fałd międzypalcowych również 3 razy, lecz tylko w ciągu pierwszego dnia. Równocześnie wkrapla się 5—8 kr. czystej formaliny do obuwia, w celu usunięcia niemiłej woni (formalina nie psuje obuwia).

Po uskutecznieniu powyższych zabiegów wciera się w nogi wazelinę dla zapobieżenia pękaniu skóry. Po kilku dniach przypadłość znika prawie zupełnie.



Nasze srebro.

I.

Wyjeżdżaliśmy na letni pobyt. Meble były okryte pokrowcami. W całem mieszkaniu czuć było naftalinę i kamforę. Ślusarz przymocowywał do drzwi i okien zamki, kłódki i kraty, a posługacze znosili ciężkie kufry i kładli na furę stojącą przed domem.

W kącie ostatniego pokoju, stała drewniana skrzynka. Do tego pokoju oprócz mego przyjaciela nikt nie miał wstępu.

— Co zrobimy z naszem srebrem?

— Umieścimy w banku — odpowiedział mój przyjaciel.

Mówił szeptem, aby o tem, gdzie będzie nasze srebro na sześć osób, nie dowiedzieli się rozbójnicy i zamiast do naszego mieszkania nie wtargnęli do banku.

— Ileż za to przechowanie trzeba będzie zapłacić?

Kilkadziesiąt fenygów.

— W takim razie zanieś nasze srebro do banku. Skrzynkę ze srebrem postaw w dorożce i usiądź na niej. Weź też ze sobą rewolwer, bo chociaż w jasny dzień, od przechodniów niczego obawiać się nie potrzeba, to jednak dorożkarz mógłby się domyśleć co wiezie i popełnić rabunek. A zatem bądź ostrożny!

— Możesz być spokojny.

Rozeszliśmy się. Ja udałem się na dworzec kolei żelaznej, a moje srebra na sześć osób do banku. Przez parę dni nie miałem żadnej wiadomości.

II.

— Czy dobrze schowałeś srebro? — zapytała mnie moja teściowa w naszem letniem mieszkaniu.

— Naturalnie, jest w banku.

— Czy też to nie będzie dużo kosztować?

— Broń Boże! Kilkadziesiąt fenygów, a wygoda, bezpieczeństwo......

Dalej nie mogłem mówić, bo właśnie nadszedł listowy i list mi doręczył.

— A, list od mego przyjaciela, który srebro w banku umieścił.

— Czytaj głośno.

— Nie... nie... to co innego... to pismo urzędowe, — wyjąkałem.

Naturalnie była to tylko wymówka, bo nie chciałem czytać, co mi przyjaciel o srebrze pisze, aby moim paniom nie psuć humoru. List opiewał: — Nareszcie udało mi się srebro w banku umieścić. Okropność, jakie z tem połączone są trudności. Najpierw badali urzędnicy banku, czy srebra nie skradłem. To trwało pół dnia. Gdy moją niewinność stwierdzili, okazało się, że skrzynka jest źle opieczętowana. Musiałem się udać do pobliskiego handlu papieru i tam skrzynkę ponownie opieczętować. Gdy wróciłem już było po godzinach urzędowych i musiałem skrzynkę zanieść do mego mieszkania. Z obawy przed złodziejami całą noc nie spałem. Na drugi dzień zaniosłem skrzynkę do banku. Była wprawdzie dobrze opieczętowana, ale mi powiedziano, że od wczoraj mogłem z niej wyjąć srebro i włożyć rzeczy bez wartości. Wobec tego skrzynkę otworzono, a że w niej srebro się znajdowało, pozwolono mi w banku skrzynkę opieczętować. Ponieważ nie miałem pieczątki, pożyczył mi jej jakiś obcy pan. Nareszcie wzięto skrzynkę w przechowanie, ale za to musiałem, jak świadczy dołączony kwit, zapłacić 10 marek, dorożka, posługacz, lak i t. p. kosztowały drugie 10 marek, które mi przy sposobności zwrócisz. Przynajmniej o srebro możesz być spokojny.

III.

Świadomość, że nasze srebro na sześć osób w banku jest umieszczone, napawała nas na naszem letniem mieszkaniu pewnego rodzaju dumą, co wydatek 20 marek dostatecznie wynagrodziło.

Wróciwszy z letniego mieszkania do domu, zapotrzebowaliśmy naszego srebra.

Kwit wystawiony przez bank opiewał, że srebro każdemu okazicielowi kwitu zostanie wydane. Dałem więc kwit posługaczowi i kazałem skrzynkę ze srebrem przynieść. Czekamy jedną, dwie, trzy godziny, a posługacza nie widać. Już nadeszła pora obiadowa, a srebra niema.

— Ten gałgan pewnie ze srebrem uciekł!

— Idź dać znać policyi.

Wychodzę bez obiadu. W sieni spotkałem zadyszanego posłańca.

— Stój! — zawołałem.

Nie stanął, ale oglądając się trwożliwie, wbiegł do mieszkania. Ja za nim.

— Gdzie srebro?

— W banku.

— Cóż się stało?

Zaraz opowiem — odrzekł — ale proszę drzwi zamknąć, aby mnie policya nie znalazła.

IV.

Trzęsąc się ze strachu, mówił posługacz: Poszedłem do banku, pokazałem kwit i prosiłem o wydanie srebra. Urzędnik patrzał na mnie podejrzliwie i zapytał, skąd mam kwit. Ja powiedziałem, że kwit dostałem od pana. Urzędnik wyszedł, aby, jak się zdaje, coś zarządzić. Czekam i czekam. Nareszcie ktoś zajrzał do drzwi, lecz zaraz się cofnął. Z przyległego pokoju dochodziły mnie głosy i usłyszałem, że mnie podejrzywają, iż kwit skradłem i że posłano po policyę. Rzeczywiście zjawił się agent policyi, a ja wybiegłem i tu przybyłem. Jakiś czas szedł za mną agent, ale stracił mój ślad. Cóż się teraz ze mną stanie?

V.

Co się miało stać z posługaczem, było rzeczą obojętną, ale co robić ze srebrem?

Obiad jedliśmy drewnianemi łyżkami, a ja potem udałem się do banku.

Bank był zamknięty i portyer mi zlecił przyjść nazajutrz.

W wieczornych dziennikach czytałem w tym dniu pod napisem: „Zamach na bank," całe zajście z posługaczem, opisane w jaskrawych kolorach.

— Jest uzasadnione podejrzenie — było w dziennikach — że posługacz zrabował kwit i z nim przybył do banku, aby bank obrabować.

Na drugi dzień udałem się do banku. Dorożce kazałem zaczekać, abym mógł skrzynkę zaraz zawieźć do domu. Urzędnik przyjął mnie pełen nieufności i pytał, czy przybywam po to samo srebro, po które wczoraj był posługacz. Urzędnik potem zadzwonił i w sposób nieznaczny przywołał większą liczbę urzędników i sług bankowych, którzy pod pozorem, że mają coś do załatwienia, mnie pilnowali.

— Jak się pan nazywa? zapytał mnie.

— Paweł Krukiewicz.

— Tak?... A przychodzisz pan po srebro Jana Wrońskiego? Co to ma znaczyć?

— Ja po srebro Jana Wrońskiego? Ale to jest moje srebro.

— Dlaczego więc kwit opiewa na Jana Wrońskiego?

— Na Jana Wrońskiego?

— Proszę, popatrzeć.

— Rzeczywiście. Ale tu musiała zajść pomyłka, Jan Wroński jest moim szwagrem i mieszka na prowincyi. Nie mogę pojąć, jak się jego nazwisko dostało do banku.

— Proszę, niech pan zaczeka — ja pójdę obejrzeć skrzynkę. Odszedł. Wrócił.

Na skrzynce jest wypisane imię i nazwisko Jana Wrońskiego.

Teraz rzecz zrozumiałem.

— Tak! Mój szwagier ma dużo jabłek i przysłał mi w skrzynce jabłka. Do tej skrzynki zapakowałem srebro. Rzecz jest zatem zupełnie jasna.

— O, wcale niejasna.

— Ale proszę, nie robić mi trudności! W gruncie rzeczy jestem uprawniony srebro zabrać, bo przecież na kwicie jest napisane, że każdemu okazicielowi kwitu srebro zostanie wydane.

— Ba, ba! Tak piszemy, ale do tego nigdy się nie stosujemy. W tem właśnie polega solidność naszego banku, że publiczności, która ma do nas zaufanie, czynimy trudności.

— Moje zaufanie uzyskaliście i proszę o wydanie srebra.

— To niemożliwe, bo kwit obowiązuje nas tylko do 8-go sierpnia, a dziś mamy już 20-go sierpnia.

Zgłupiałem. Miał słuszność. Tak kwit opiewał. — Więc moje srebro dla mnie stracone.

— Nie, jeżeli pan uiści dodatkową opłatę w kwocie 10 marek.

— Dziękuję. Niech pana Bóg błogosławi, proszę, tu jest 10 marek. Ale proszę mi nareszcie srebro wydać.

— Wydam, jeżeli pan przyjdziesz z Janem Wrońskim.

Na pół żywy wyszedłem z banku i zapłaciłem dorożkarzowi za czekanie 5 marek.

VI.

Na wezwanie telegraficzne przybył mój szwagier z prowincyi i obaj udaliśmy się do banku.

— Jan Wroński?

— Do usług.

— Kto poświadczy pańską identyczność?

Zaprowadziłem szwagra do notaryusza i przedstawiłem. Notaryusz poświadczył jego identyczność jako „osobiście mu znanego,“ chociaż go nigdy przedtem w życiu nie widział.

Ale i to nie wystarczyło. Pieczątki na skrzynce brzmiały na imię i nazwisko Bartłomieja Kurka. Bank żądał, aby także i Bartłomiej Kurek przybył.

Na to zaraz oświadczyłem: — Co do tego byłem przygotowany i Bartłomieja Kurka przyprowadziłem.

Wyszedłem na ulicę i spotkawszy jakiegoś draba, poprosiłem go, by się za Bartłomieja Kurka przedstawił. Zgodził się na to, a ja i mój szwagier stwierdziliśmy jego tożsamość.

Pomimo, że rzekomy Bartłomiej Kurek nie mógł okazać pieczątki, urzędnik banku na wydanie srebra się zdecydował.

Przedłożył nam dokument do podpisu, wedle którego bank zrzuca ze siebie wszelką odpowiedzialność z powodu wydania srebra.

Stary woźny powolnym krokiem udał się na polecenie urzędnika do opancerzonego lokalu banku i po upływie godziny przyniósł skrzynkę. Z tryumfem zabrałem ją, ale zanim mogłem wyjść, zjawił się dyrektor banku i zaczął mnie wypytywać w jaki sposób do srebra przyszedłem, i który z urzędników w tak lekkomyślny sposób ośmielił się srebro mi wydać.

Urzędnik starał się swoje postępowanie wytłumaczyć, skorzystałem z tego zamieszania i srebro zawiozłem do domu.

Moi znajomi, którzy również swoje srebra w banku przechowywali, zaręczali mi później, że powinienem być bardzo zadowolony, że tak prędko srebro z banku otrzymałem. Co się zaś tyczy materyalnej strony całej sprawy, to wyznać muszę, że umieszczenie srebra w banku kosztowało mnie tyle, że mogłem za te pieniądze zakupić nowe srebro na sześć osób. ***



TO I OWO.

Osada tatarska na Podlasiu.

Niedaleko osady Łomazy w powiecie bialskim, gubernii siedleckiej, w Królestwie Polskiem, istnieje wieś Studnianka, w której zamieszkuje 8 rodzin dawnych Tatarów, osadzonych podobno w tej miejscowości za króla Jana III-go. Tatarzy studniańscy trzymają się swej wiary, mają we wsi drewniany niewielki meczet i wybieranego ze swego grona mułłę, zatwierdzonego przez gubernatora, a podwładnego „muftiemu“, rezydującemu w Ufie. Nabożeństwo odprawia się w języku arabskim.

Wszyscy mahometanie studniańscy trudnią się rolnictwem, są piśmienni, językiem ich domowym jest język polski, z sąsiadami są w stosunkach jak najlepszych. Z czasów dawniejszych przechował się ciekawy dokument, dotyczący osadnictwa Tatarów na tej ziemi. Jest to dekret Augusta II. z r. 1698-go, którego mocą król nakazuje rotmistrzowi tatarskiemu Romanowskiemu zwrócić nieprawnie zajęte 68 włók ziemi, zagarniętej od włościan łomaskich i ziemie te przekazuje im w czynsz wieczysty. Dokument ten, spisany na pergaminie, zaopatrzony w wielką lakową pieczęć królewską i w oryginalny podpis Augusta II-go, początkowo przechowywany był w urzędzie gminy Łomazy, obecnie puszkę z dokumentami przechowuje ks. proboszcz miejscowy.

* * *

Ile miodu wytwarza pszczoła?

Statystyczne obliczenia wykazały, że w Niemczech pracuje rocznie około 65 miliardów pszczół. Obliczono to w ten sposób, iż przyjęto, że z 2,600.000 ulów, które utrzymują w Niemczech bartnicy, każdy mieści w sobie około 25.000 pszczół. Powyższe 65 miliardów pszczół przynosi rocznie hodowcom około 150.000 centnarów metr. miodu. Jeżeli się tę liczbę podzieli przez ilość pszczół, to dojdziemy do rezultatu, że każda pszczoła daje rocznie nie więcej jak ćwierć grama miodu. Ta nizka cyfra niejednego może rozczaruje, ale mimo to nie wolno nam lekceważyć pracy pszczół, jeżeli zważymy, że wszystkie pszczoły całego świata wytwarzają rocznie zdumiewającą ilość 300 milionów kilogramów miodu, a tem samem dostarczają ludzkości zarobku około 600 milionów marek.

Przytem nie liczy się już wartości wytworzonego przez pszczoły wosku, która to wartość jest wprawdzie niższą od wartości miodu, ale w każdym razie dość poważna. Z ilości wytworzonego przez pszczoły na całym świecie miodu można też obliczyć liczbę żyjących na całym świecie pszczół: wynosi ona 1 bilion i dwakroć sto tysięcy milionów.

* * *

Przeciw promieniom słonecznym.

Dotychczas panowało powszechne przekonanie, że kolor biały stanowi najlepsze zabezpieczenie przeciw promieniom słonecznym. Dlatego też turyści w sferach podzwrotnikowych używali głównie ubrań białego koloru. Wprowadzono również białe mundury dla wojsk europejskich w koloniach.

Obecne badania, przeprowadzone przez chemików angielskich, wykazały, iż kolor czerwony jeszcze lepiej zabezpiecza przed działaniem promieni słonecznych, niż biały. Stwierdzono, iż Europejczycy, przebywający w sferach podzwrotnikowych, a noszący ubrania czerwonego koloru, znacznie łatwiej znosili upały. W związku z tem odkryciem przeprowadzona ma być reforma mundurów wojsk kolonialnych.

* * *

Potęga fanatyzmu.

Warszawskie gazety żargonowe opisują fakt następujący: Na ul. Miłej wśród chałaciarzy rozeszła się pogłoska, że u piekarza z pod nr. 67 przy tejże ulicy, do którego żydzi oddają w piątek jedzenie do ugotowania na sobotę, wśród garnków znaleziono także jeden należący do chrześcianki. Znalazł się zaraz fanatyk, który ogłosił o tem w sobotę w bóżnicach. Wobec tego przeszło 100 rodzin żydowskich, przeważnie ubogich, wylało do rynsztoka całe jedzenie sobotnie, jedynie dlatego, że w tym samym piecu stał garnek „trefny...“

* * *

Nowy tryumf medycyny.

W Samaritan-Hospital we Filadelfii w Stanach Zjednoczonych uwieńczony został pomyślnym skutkiem zamiar przełożenia skóry, mierzącej 32 cale kwadratowe, z ciała jednego pacyenta na ciało drugiego, i to po upływie pięciu dni. Dotychczas sądzono, że ciało można z jednej osoby na drugą przenieść tylko wtenczas, gdy nastąpi to niezwłocznie. Możliwą będzie odtąd rzeczą dla wszystkich lazaretów konserwować znaczne zapasy ciała i skóry na lodzie, aby, gdy tego zajdzie potrzeba, módz je transplanować (przekładać) na drugą osobę.

* * *

Co czytają niewidomi?

Wiedeński zakład wychowawczy dla ślepych ogłasza interesujące sprawozdanie o stanie biblioteki zakładowej dla ociemniałych i statystykę poczytności dzieł, tamże się znajdujących. Biblioteka posiada ogółem ośm tysięcy tomów, pisanych osobnym alfabetem punktowym; jest to dzieło komitetu, złożonego z 72 osób, które z całem poświęceniem przerabiają zajmujące dzieła z dawniejszej i współczesnej literatury, by je udostępnić dla czytania ślepym. Nadto istnieje w zakładzie kilkanaście pism, redagowanych w kilku językach.

* * *

Sprytna łapówka.

W pismach francuskich krąży zabawna historya, jaka wydarzyła się pewnemu kapitanowi niemieckiemu w Alzacyi. Trzej żołnierze jednoroczni, chcąc zaskarbić sobie jego względy, ofiarowali jego żonie cenny fortepian. Dzięki temu przez cały rok służby doznawali licznych ulg i ułatwień. Jakże wielki był jednak gniew kapitana, gdy po opuszczeniu przez nich pułku, zgłosił się do jego mieszkania właściciel składu fortepianów, żądając dalszych opłat. Młodzi ludzie wynajęli bowiem tylko fortepian, a spłacając bardzo regularnie czynsz dzierżawy, zabezpieczyli się przed podejrzeniami ze strony zwierzchnika.

* * *

Ofiary literatury kryminalnej.

Pod Kaiserslautern w Palatynacie Bawarskim chłopiec 16-letni i dziewczyna w tym samym wieku, podnieceni przez literaturę sensacyjną, urządzili sobie w lesie prawdziwą jaskinię zbójecką. W celu jej umeblowania ograbili skład mebli, tą samą drogą zaopatrywali się w żywność, bieliznę i ubranie. Dziewczyna w przebraniu męskiem towarzyszyła chłopcu podczas napadów. Sielanka rozbójnicza trwała niedługo, po tygodniu bowiem żandarmi uwięzili młodocianych opryszków.

Fatalne lustro



Polakożerca: Szkaradne lustro! Za każdym razem, gdy spojrzę w nie, widzę w niem — świnię.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 21-go maja 1434 śmierć Władysława Jagiełły. — 1674 Jan Sobieski ogłoszony królem. — 1841 śmierć Juliana Ursyna Niemcewicza.

Dnia 22-go maja 1831 bitwa w Bielsku. — 1833 powieszenie w Józefowie emisaryusza Karczewskiego.

Dnia 23-go maja 1404 traktat w Raciążu z Krzyżakami. — 1764 uroczysta gwarancya granic Polski przez Moskwę. — 1791 król pruski Fryderyk chwali konstytucyę 3-go maja.

Dnia 24-go maja 1543-go śmierć Mikołaja Kopernika. — 1792 konfederacya Targowicka.

Dnia 25-go maja 992 śmierć Mieczysława I. — 1831 bitwa pod Jakaciami.

Dnia 26-go maja 1584 ścięcie Samuela Zborowskiego. — 1831 klęska pod Ostrołęką.

Dnia 27-go maja 1436 Węgrzy żądają zwrotu ziemi spiskiej. — 1471 Władysław Jagiellończyk obrany królem czeskim. — 1764 Fryderyk dziękuje rzeczypospolitej za przyznanie mu tytułu króla.

Nie ten u mnie żył długo, kto wiek przeżył długi,
Lecz kto życie wielkiemi ozdobił zasługi.
Adam Naruszewicz.

* * *

Bóg sieje ludzi — człek sypie mogiły.
Wincenty Pol.

Humor i satyra.

Z facecyj autentycznych.

Krówki — nie „kije!“

Pewien rodak opisuje następujące zabawne, ale zarazem smutne i znamienne zdarzenie: W przedziale kolejowym pociągu na torze z Kowalewa do Bydgoszczy siedziała pewna przystojna Polka z swym pięcioletnim synkiem. Obok rozpostarł się jakiś opasły Niemiec. Wszyscy należeli do tak zw. inteligencyi. Ożywioną ze sobą toczyli rozmowę w języku niemieckim. Malcowi, który wiecznie szczebiotał, że jedzie do babci, widać to się nie podobało, gdyż chcąc skierować uwagę mateczki na inny przedmiot, radosne zaczął wydawać okrzyki: „krówki, krówki,“ kiedy ujrzał ich całe stado przez okno wagonu. Matka, rozumie się w języku niemieckim przez wzgląd na jegomościa, odrzekła synkowi, że to są „Kühe.“ Dziecko nie dowierzając matce, że to „kije,“ a nie krówki,“ w zamyśleniu słowo to powtarzało, zawstydzając własną matkę.

* * *

Nowe przysłowie.

— Znasz nowe przysłowie?

— Jakie?

— Żeby ciocia miała spodnie, byłaby ubrana modnie.

* * *

Nieszczęśliwie.

— Więc powiadasz, że Heniek nieszczęśliwie się ożenił?

— Naturalnie!

— Dlaczego?

— Ba, dostał 100.000 posagu, a długów ma przeszło 200.000 tysięcy.

Schorlemer a hakata.



Przyszedł, ujrzał i — stchórzył.

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 11-go b. m. włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Wanda Malinowska, Józef Kędziora, J. Borys.

Z PROWINCYI: pp. Bronisława Śmidowicz z Wrześni, Alojzy Henke z Czarnkowa, Wincenty Nęcki z Donaborowa w powiecie kępińskim, Józef Szperkowski z Wiatrowa w powiecie wągrowieckim, S. Janiszewski ze Sławoszewa w powiecie jarocińskim.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Helena Rogalla z Kościerzyna, Tadeusz Frankowski z Nowego, Jul. Wiszniewski z Jaźwisk, Ewa Raasch z Kamienicy.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Emil Gałonska ze Starych Gliwic, Karol Krzystolik z Tychów, Wiktor Polak z Bobrku, Wiktor Kłoda z Mokrego pod Mikosławem, Ludwik Rother z Bobrekhuty, Ang. P. z Rudy, Janek z Michałkowic, A. Wojciechowski z Friedenshuty w powiecie bytomskim, Berta Badura z Rożdzienia.

Z GALICYI: pp. Ochenduszko z Liska, Jan Krzyszkowski z Kałusza, Wojciech Priefer z Niegoszewic.

Z OBCZYZNY: pp. Wiktor Margowski z Dortmundu, Jan Grzankowski z Osterfeld, Józef Chłapek z Bottropu, Leokadya Kulińska z Welzow na Dolnych Łużycach, L. Bock z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp Ewa Raasch z Kamienicy, Emil Gałonska ze Starych Gliwic i Wiktor Margowski z Dortmundu.

Surowy.

Inżynier. No, Wojciechu, nowa kolej przejdzie w poprzek waszego podwórza.

— Słyszałem, słyszałem. I że też nic na to nie można poradzić! Jedno jeno odrazu powiadam, po 8-ej wieczorem za nic wrót nie roztworzę.

* * *

Wielka zaleta.

Młoda i ładna mężatka ogląda mieszkanie, pokazywane przez stróża.

— A czy to mieszkanie suche i ciepłe?

— O i bardzo, a przytem już trzy lokatorki, co tu mieszkały, dostały rozwód.

* * *

Nocturno!

Ach! księżycu mdły i blady,
Jak zazdroszczę ci tej chwili,
Kiedyś pośród gwiazd gromady
Patrzał w oczy mej Maryli!

Bezlitośnie drwiąc z człowieka
Uśmiechałeś się wciąż do niej!...
Wiedząc o tem, że z daleka
Mogę tylko marzyć o niej!

Lecz szczęśliwszy ja raz byłem,
Gdym wzajemność lubej zyskał,
Gdy tuliłem — gdy pieściłem,
Gdym do piersi ją przyciskał.

A tyś patrząc na to z góry
Twarz swą bladą z gniewu schował
Po za zimne... czarne chmury...
A jam dalej wciąż całował!

* * *

W tańcu.

— Bez co pan Ignacy, kiej tańczy polkę, to wciąż mi po nogach depce?

— Uważa panna Katarzyna, mam podkowy na obcasach, a gospodarz okropnie się gniewa kiej mu podłogę dziurawię. Ja zaś na ten przykład nie lubie nikomu robić szkody.

* * *

Wielkie święto.

— Cóż to Jasiu dziś tak wcześnie powróciłeś ze szkoły?

— U nas dziś wielkie święto.

— Jakie?

— Pan profesor umarł.

Kwadraty magiczne.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ „Stary Wiarus“ z nad Warty.

a	a	k	k	k	k	a	a	d	a	a	a	a	a	c
k	o	o	o	o	o	k	n	o	g	g	i	c	n	n
r	s	s	o	r	t	o	s	s	l	l	t	o	o	r

Z liter w każdym kwadracie osobno ułożyć przez przestawienie trzy słowa pionowo i poziomo jednakowe. Między kwadratami liter zmieniać czyli przenosić z jednego w drugi nie wolno.

Kwadraty te obramowane dadzą prócz tego słowo pięciogłoskowe, oznaczające zjawisko żywiołowe.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 25-go maja włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadesłały dokładne rozwiązanie całej zagadki.

Rozwiązanie szarad, zamieszczonych w nr. 19-ym:

I. Chełm-szczy-zna.

II. Czę-sto-cho-wa.

NASZ KĄCIK.



Jurcio i pszczoła.

— „Tatku, tatku, — Jerzyk woła,
— Tak mnie goni wciąż ta pszczoła,
O, niech tatko tylko słucha,
Jak mi brzęczy koło ucha,
Chce mnie kąsać, o mój tato,
Proszę, zabijże ją za to!“
— „Nie, mój chłopcze, tak nie zrobię,
Stój spokojnie, pójdzie sobie,
Nie ukąsi pszczółka ciebie! —
Powiedz, lubisz miód na chlebie?
A czy wiesz skąd ta ciecz złota?
Drobnych pszczółek to robota;
Pracowite całą rzeszą
Z kwiatka na kwiat wciąż się spieszą,
Zewsząd słodycz wyciągają
I do ula ją składają.
Ja się tobą nie poszczycę,
Gdy zabijesz pracownicę,
Co swym trudem i swym ładem,
Może świecić ci przykładem!“
Wstydem Jurcia twarz spłoniona,
A zaś pszczółka nie goniona,
Hen odbiegła od chłopczyka
I nad kwiatkiem już gdzieś bzyka.

P. W.

* * *

Odpowiedzi.

Zosia, Józio i Basia Wachowscy. Witkowo. Bardzo mi was żal drogie dzieci, że straciłyście babunię. Módlcie się za spokój jej duszy, to i ona uprosi wam wszystko dobre. Czy podoba wam się książeczka?

Władek Sokołowski. Berlin. „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.“ Czy znasz Władku to przysłowie? Twoje wypracowania są bardzo dobrze i ładnie napisane, ale niestety spóźniłeś się z ich nadesłaniem. Tymczasem więc niech ci nagrodę zastąpi szczere uznanie i pochwała, a na drugi raz pośpieszysz się, prawda?

Janek Wyrwa. Drawsko. I ty również Janku, spóźniłeś się z nadesłaniem ostatniego wypracowania, tylko, że do ciebie nie mogę zastosować tego, co powiedziałam Władkowi S., więc powtarzam i proszę cię jeszcze raz: Ucz się, czytaj i pisz z uwagą, abyś do czasu następnych zagadek nauczył się pisać bez błędów! Czy obiecujesz mi to mój drogi chłopczyku?

W ostatnim czasie odebrałam od was moje drogie dzieci mnóstwo listów, niektóre są ładnie i dobrze pisane, w innych aż roi się od błędów. Ani wam ich za złe nie biorę, ani się gniewam ni dziwię, a nawet liściki z błędami droższe mi są prawie, bo pochodzą od dzieci, które więcej potrzebują mojej pomocy. Chciałabym tu zrobić przegląd i poprawkę tych błędow, lecz niestety, za wiele by nam to miejsca zabrało, podam więc na drugi raz najłatwiejszy sposób uczenia się i poprawiania samemu różnych omyłek i niedokładności pisowni. Całuję was moje dzieci kochane. Przywiązana do was szczerze przyjaciółka

Paula Wężyk.

* * *



Czerwony zeszycik.
(Mój dzienniczek).

Mokoszyn, d. 10. 7. 10 r.

Dzisiaj odjechał mój kochany nauczyciel, mój jedyny p. Mieczysław. Ledwie zdołałem łzy powstrzymać, myśląc, że na pięć tygodni się żegnamy, bo i co ja teraz będę robił? Rodzice zajęci, a Halszka chociaż bardzo kochana i dobra siostrzyczka, ale jej towarzystwo nie może mi przecież wystarczyć, to takie siedmioletnie gąsiątko, co lalkami się tylko bawi, a ja już przecież skończyłem 10 lat. Pan Mieczysław widząc mój żal rzekł: Pisz Januszku dziennik! Zapisując w nim swoje myśli i zdarzenia, będziesz miał wrażenie, że mnie je opowiadasz, a ja to chętnie potem przeczytam i przekonam się jak też mój drogi uczeń korzystał z wolnego czasu. Jeszcze jeden serdeczny uścisk i konie ruszyły z przed ganku uwożąc p. Mieczysława. Ach jak mi tęskno!

12. 7. 10 r.

I tak już minął pierwszy dzień wakacyj, ale co ja mam właściwie pisać? U nas nic się nadzwyczajnego nie dzieje i dzień do dnia podobny jak dwie krople wody. Chciałbym się czemś zająć, coś robić, żeby pan Mieczysław czytając potem mój dziennik mógł być zadowolonym, nie wiem jednak do czego by się zabrać?

13. 7. 10 r.

Dziś przy obiedzie przypomniałem tatusiowi obietnicę wycieczki do Ojcowa w czasie wakacyj. Pan Mieczysław mówił, że jest zadowolony ze mnie i z mych postępów w nauce, więc dla tego upomniałem się o tę dawno obiecaną mi nagrodę. Tatuś powiedział, że nie zapomniał o tem i jak tylko żniwa się skończą to pojedziemy. Ogromnie się cieszę!

15. 7. 10 r.

Pojechałem dziś rano z tatusiem konno, w pole, do żniwiarzy. Przywiązałem mego kuca do wierzby i podawałem wraz z drugimi snopki na wóz. To się zdaje taką sobie zabawką, a to jednak ciężka praca i strasznie mnie teraz ramiona bolą, choć pracowałem może zaledwie pół godziny, a ci ludzie tak ciągle, ciągle dzień po dniu robić muszą. Teraz dopiero nauczę się cenić ich pracę.

16. 7. 10 r.

Wałęsam się z kąta w kąt i nie wiem co robić. Przecież nie mogę ciągle wraz z Halszką lalki stroić, albo bawić się z nią w gotowanie i ręce sobie mazać czekoladą, piernikiem i malinami. Przed południem leżałem cały czas na trawniku i czytałem „Robinsona,“ ale to wszystko nie wystarcza. Czuję, że pan Mieczysław nie będzie ze mnie zadowolonym.

18. 7. 10 r.

No, nareszcie coś wymyśliłem i rodzice pochwalili mój zamiar. Teraz codziennie przez pół godziny po obiedzie będę uczył czytać dzieci kucharza Jana i woźnicy Marcina. Już dziś odbyła się pierwsza lekcya. Staszek, Kasia, Antosia i Janek bardzo pilnie uważali, a ja starałem się jaknajlepiej spełnić przyjęty obowiązek nauczyciela.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Tajemnica morza.

10)

(Ciąg dalszy).

— Mój kochany — odrzekł poważnie oszczepnik — dla tych, co nie mają co innego, papuga będzie bażantem.

— Byle ją dobrze przyprawić — rzekłem — to ujdzie.

Pomiędzy gęstwiną tego gaju, mnóstwo papug przelatywało z gałęzi na gałęzie. Ponieważ nie dano im starannego wychowania, i nie nauczono ich używać mowy ludzkiej, więc paplały po swojemu. Brakowało w tej rzeszy skrzydlatej jeszcze jednego ptaka, który nigdy nie opuszcza wysp tamtych; los nadarzył nam do podziwiania go sposobność.

Przeszedłszy kawałek gaju nie bardzo gęstego, doszliśmy do płaszczyzny zasłanej krzewami. Ptaki prześliczne, zmuszone układem swych piór długich do latania pod wiatr, zerwały się przed nami. Lot ich falisty, wdzięczna forma ich skrzydeł, ułudność ich barw, zachwycały nasze oczy. Poznałem je odrazu.

— To rajskie ptaki — zawołałem. — Zmiłuj się Ned, dostaw nam choć jednego z tych stworzeń.

— Spróbuję, lubo przyznam się, że wolę używać oszczepu niż fuzyi.

Pozostawało nam tylko strzelać te ptaki w lot, co nie łatwą było rzeczą. To też zepsuliśmy na darmo część naszych zapasów strzelniczych.

Około jedenastej rano, przebyliśmy pierwszy wieniec wzgórz, podnoszących się coraz wyżej ku środkowi wyspy. Niceśmy jeszcze nie upolowali, a byliśmy bardzo głodni. Szczęściem Konsel ubił parę grzywaczy, oskubał je żywo, zatknął na rożen i upiekł przy ogniu z suchych gałęzi rozniecony,ch. Mieliśmy wyborne śniadanie; gołębie szczególniej nam smakowały.

— Czyś zadowolony Ned? — pytałem Kanadyjczyka.

— Trzeba mi czegoś czteronogiego, panie profesorze — odpowiedział; — te gołąbki dobre są tylko do pobawienia zębów.

Idąc z godzinę, dostaliśmy się do prawdziwego lasu sagowego. Spłoszyliśmy kilka nieszkodliwych wężów; ptaki rajskie uciekały za zbliżeniem się naszem i doprawdy zwątpiłem już, żebym którego pochwycił — gdy nagle posłyszałem tryumfalny okrzyk Konsela, przylatującego do mnie z rajskim ptakiem w ręku.

— A toś zuch, mój chłopcze! — zawołałem — spisałeś się po mistrzowsku! Złapać takiego ptaka żywcem i tylko ręką, sztuka nie lada.

— Niech mu się pan bliżej przypatrzą, a zobaczą, że nie wielka to była sztuka złapać go. Toć on pijany.

— Co ty gadasz, pijany?

— A tak, pijany; upił się muszkatołową gałką, którą zbierał właśnie, gdym go pochwycił.

Przyglądałem się ptakowi i przekonałem się, że Konsel miał słuszność. Ptak zapadł w bezwładność od upajającego soku muszkatołowego; nie mógł podlecieć i ledwie posuwał się na nogach.

— Czy to taka rzadkość? — pytał Kanadyjczyk tonem myśliwca niedbającego o artystyczną wartość zwierzyny.



..Nie wielka to była sztuka złapać go...

— Wielka i trudna do schwytania żywcem. A nawet nieżywe ptaki te są przedmiotem znacznego handlu; to też krajowcy fabrykują je, jak inni robią perły i dyamenty.

— Jakto — zawołał Konsel — ptaki rajskie bywają fałszowane? A jakże to robią krajowcy?

— Podczas panowania wiatrów wschodnich, rajskie ptaki gubią swe pióra z ogonów. Te pióra zbierają fałszerze i ubierają w nie jaką papugę, odpowiednio przekształconą. Zakrywają miejsca, do których pióra rajskiego ptaka przyczepione zostały, a takie wytwory przemysłu rozchodzą się po świecie i sprzedawane są do muzeów.

Zadowolony byłem, bo miałem rajskiego ptaka; Kanadyjczyka to nie zaspokajało, bo nie miał kotletów. Ale i jemu posłużyło szczęście. Około drugiej godziny ubił dzika. Pyszny ze swej zdobyczy, oczyścił go szybko, wypatroszył i zrobił z półtuzina kotletów, które miano usmażyć wieczorem. Poczem puściliśmy się na dalsze polowanie.

O szóstej wieczorem powróciliśmy na brzeg; łódź nasza stała gdzieśmy ją zostawili, a „Nautilus“ jakby długa

skała, leżał na morzu o jakie dwie mile od brzegu. Ned wziął się do wielkiej sprawy, przyrządzenia obiadu — a znał się na tem wybornie. Upieczone na węglach kotlety, wydawały rozkoszną woń rozlewającą się w powietrzu.

Gotów byłem iść za przykładem Kanadyjczyka. Koniec końców, obiad mieliśmy doskonały.

— A co, żebyśmy też nie wrócili na noc do „Nautilusa“ — mówił Konsel.

— To lepiej nigdy już tam nie wracać! — dodał Ned-Land.

W tej chwili upadł wielki kamień przy nas, i przerwał mowę oszczepnika...

Napad dzikich.

Spojrzeliśmy w stronę lasu, nie podnosząc się — jedna moja ręka wstrzymała swój ruch ku ustom. Ned nie zatrzymał swojej.

— Kamień nie może spaść z nieba! — rzekł Konsel.

Poparł tę uwagę drugi kamień, starannie zaokrąglony, wytrącając Konselowi z ręki soczyste udko grzywacza.

Zerwaliśmy się wszyscy, gotowi z fuzyi odpowiedzieć na wszelką zaczepkę.

— Czy to małpy? — zawołał Ned-Land.

— Coś bardzo podobnego — odpowiedział Konsel — bo dzicy.

— Do łodzi! — zawołałem zwracając się ku morzu.

Istotnie trzeba się było cofać, bo o sto kroków ledwie od nas, na wyjściu z gaju zasłaniającego widnokrąg z prawej strony, pokazało się ze dwudziestu krajowców uzbrojonych w łuki i proce. O jakie dziesięć sążni stało czółno nasze. Dzicy zbliżali się nie biegnąc, ale nie skąpili nam strzał i kamieni.

W dwie minuty byliśmy już na brzegu. Coprędzej znieśliśmy nasze zapasy i broń do czółna, zepchnęliśmy na wodę i założyliśmy wiosła. Ledwieśmy nieco odpłynęli, gdy około stu dzikich weszło w wodę do pasa, wyjąc i grożąc. Spojrzałem na „Nautilusa“, żeby zobaczyć czy zbliżający się goście nie wywołają na pokładzie jakiego ruchu. Ale nie! Ogromna machina leżała na wodzie — nikt się na niej nie pokazał.

W dobry kwadrans, byliśmy na pokładzie; wejście było otwarte. Przyczepiliśmy łódź i weszliśmy do środka. Udałem się do salonu, w którym brzmiała muzyka. Był tam kapitan Nemo schylony nad organami. Nie słyszał mnie...

— Kapitanie! — zawołałem.

— Ach! to pan — rzekł drgnąwszy i obracając się ku mnie. — No i cóż? Powiodło się polowanie?

— Dobrze poszło wszystko — odparłem — ale na nieszczęście sprowadziliśmy za sobą gromadę dzikich.

— Dzikich! — rzekł kapitan ironicznie. — I cóż się pan dziwisz, żeś spotkał dzikich, wstępując na jedną część kuli ziemskiej. A gdzież ich niema? A wreszcie ci, których dzikimi pan nazywasz, czy gorsi od innych?

— Więc jeśli pan nie chcesz przyjąć ich na pokładzie „Nautilusa,“ to trzeba przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Uspokój się pan, panie profesorze, niema się o co kłopotać.

— Ale jest ich porządna gromada.

— A iluż mniej więcej?

— Najmniej stu.

— Panie Aronnax — rzekł kapitan Nemo kładąc palce na klawisze — niech się tu zbiegną wszyscy krajowcy Nowej Gwinei, „Nautilus“ się ich nie obawia.

Palce kapitana zaczęły przebiegać klawisze, grał sobie dalej.

Wyszedłem na pokład. Noc już zapadła, bo pod tą szerokością słońce zachodzi, i nie pozostawia zmierzchu. Wyspa przedstawiała się jak za mgłą — a liczne ognie rozpalone na brzegu, wskazywały, że dzicy nie myśleli się oddalić.

Spędziłem w tej samotności kilka godzin, to myśląc o krajowcach — ale nie lękając się ich jako przeniknięty tą samą co i kapitan pewnością bezpieczeństwa — to zapominając o nich wobec rozkosznej piękności podzwrotnikowej. Widząc, że na pociemniałych falach wszystko jest spokojne, równie jak i pod drzewami na wyspie, udałem się około północy do mej kajuty, i zasnąłem spokojnie.

Noc minęła bez wypadku. Widocznie Papuasi trwożyli się samym widokiem potworu osiadłego w zatoce — bo gdyby nie to, mogliby łatwo dostać się do wnętrza „Nautilusa,“ którego pomost nie był zamknięty. O szóstej rano dnia 8-go stycznia, wyszedłem na pokład. ranek się rozjaśniał, wkrótce dostrzegłem wyspę wpośród mgły podnoszącej się — naprzód wybrzeże, a potem i szczyty.

Krajowcy byli tam ciągle, ale daleko liczniejsi niż wczoraj. było ich z pięćset lub sześćset może. Niektórzy korzystając z nizkiej wody, zbliżyli się po wierzchołkach koralowych na kilkaset metrów do statku, i było ich widać. Byli to ludzie pięknej rasy, o czole szerokiem i wysokiem, grubym, ale nie spłaszczonym nosie, zębach białych. Ich wełniaste czupryny zafarbowane na czerwono, odbijały wydatnie od czarnego ciała błyszczącego, w uszach przeciętych u dołu i rozciągniętych, wisiały szkaplerzyki z kości, a prawie wszyscy byli zupełnie nadzy. Tylko pewna ilość kobiet znajdujących się między nimi, odznaczała się osłoną, od bioder aż do kolan spadającą. Niektórzy z dzikich, pewnie naczelnicy, mieli naszyjniki ze szkiełek czerwonych i białych; wszyscy prawie uzbrojeni byli w łuki, strzały i tarcze, a na plecach mieli rodzaj sieci zawierającej pozaokrąglane kamienie, które umieli z procy wyrzucać.

Jeden z naczelników najbliższych „Nautiliusa“, przypatrywał mu się bacznie. Musiał to być jaki wódz wysokiej rangi, bo był ubrany w tkaninę z liści banana, wycinaną w zeby u dołu i jaskrawemi kolorami przetykana. Łatwo mógłbym go powalić, bo był dość blisko, ale wolałem czekać zaczepki z jego strony.

Dopóki woda była nizka, krajowcy krążyli w blizkości „Nautilusa,“ ale spokojnie się zachowali. Słyszałem jak wymawiając często wyraz „assai“ zapraszali mnie gestami, bym przybył na ląd: nie zdawało mi się jednak właściwem usłuchać tego zaproszenia. Ned-Land bardzo był markotny, że nie mógł tego dnia udać się na wyspę dla dopełnienia swych zapasów; za to bordzo zręcznie zajmował sie urządzeniem mięsiwa i mąki sprowadzonych z wyspy. Co do dzikich, ci około jedenastej rano powrócili na ląd, bo morze zaczęło się podnosić i pokrywać wierzchołki koralowe. Ale liczba ich na pobrzeżu wzrosła jeszcze. Zapewne przybyli z wysp sąsiednich. A jednak nie spostrzegłem ani jednej łodzi.

Nie majac co lepszego do roboty, chciałem przepatrzeć te piekną przejrzystą wode, na dnie której widać było pełno muszli, zwierzokrzewów i wodorostów morskich. Zresztą, ostatni to już dzień spedzaliśmy w tem miejscu, skoro nazajutrz, jeśli według kapitana Nemo spłynąłby statek na pełne morze, mieliśmy się udać w inne strony.

Kazałem Konselowi, by mi przyniósł małą sieć, taką niemal, jaką się łowi ostrygi.

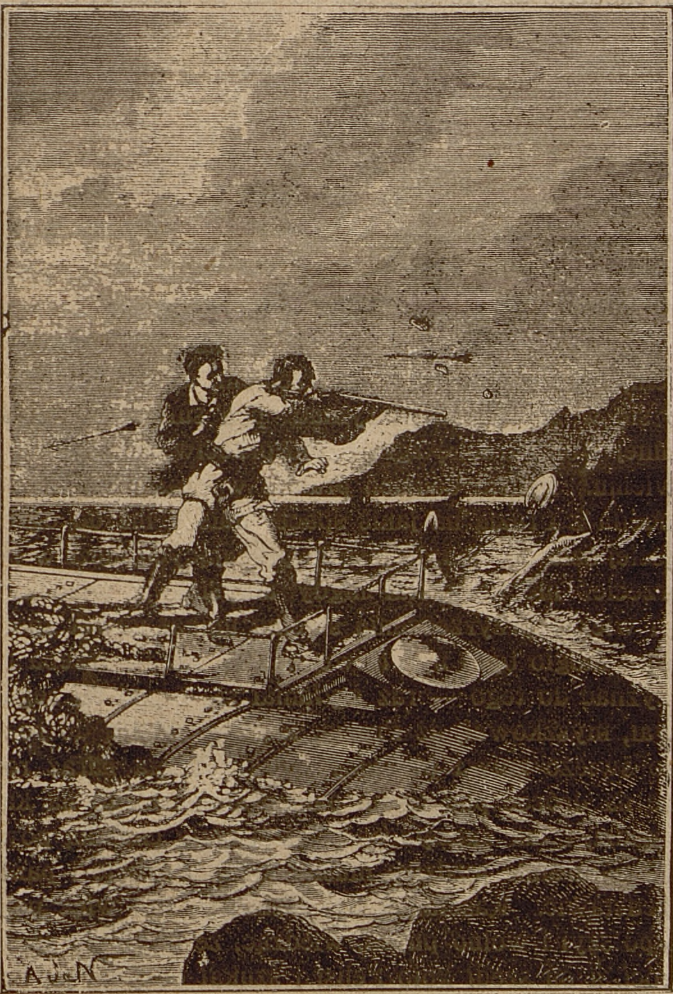
— A dzicy? zapytał Konsel — choć zdaje mi się, że nie są złośliwi.

— A jednak są to ludożercy, mój kochany.

— Można być ludożercą, a poczciwym człowiekiem, tak jak można być poczciwym, choć się lubi smaczne kąski; jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Zgadzam się z tobą; niechże sobie oni będą poczciwymi ludożercami, niech poczciwie pożerają tych, co im wpadną w ręce. Że jednak nie mam ochoty, żeby mnie pożarto choć poczciwie, więc będę się miał na ostrożności, bo jak się zdaje, dowódca nasz nie myśli o tem. A teraz do roboty.

Przez dwie godziny pilnej czynności, wydobywaliśmy najpiękniejsze, jakie dotąd widziałem, muszle i zwierzęta morskie. Wreszcie znalazłem jedną cudowną, ślicznie kolorową i bardzo rzadką. Zapatrzyliśmy się, ja i Konsel na nasz skarb; obiecywałem sobie wzbogacić nim prawdziwie jakie muzeum — gdy wtem jakby naumyślnie, kamień ciśnięty przez jednego z dzikich, strzaskał zupełnie muszlę w ręku Konsela.



„Konsel wycelował do dzikiego...“

Krzyknąłem rozpacznie. Konsel pochwycił moją fuzyę, wycelował do dzikiego, wywijającego swą procą o jakie dziesięć metrów. Chciałem powściągnąć Konsela, ale strzał padł i strzaskał naramiennik z amuletów, który wisiał na ręku dzikiego.

— Konsel, co robisz? — zawołałem.

— A cóż! albożto nie ten ludożerca zaczepił?

— Ależ muszla nie warta życia człowieka — rzekłem.

— Łotr jakiś — krzyknął Konsel! — wolałbym, żeby mi rękę zgruchotał.

Konsel mówił szczerze, ale ja nie byłem tego zdania! Jednak położenie zmieniło się od niejakiego czasu, chociaż nie spostrzegliśmy tego. Około dwudziestu łodzi otaczało „Nautilusa“. Łodzie te czyli pirogi, wyżłobione z pni drzew, wązkie, dobre do pospiesznej żeglugi, utrzymywały w równowadze za pomocą dwóch pływaków bambusowych, umieszczonych nad powierzchnią wody. Kierujący niemi na pół nadzy wioślarze, byli zręczni; to też nie bez pewnego niepokoju patrzałem na zbliżanie się łodzi.

Naszą bronią niewydającą odgłosu, niewielkie moglibyśmy na nich zrobić wrażenie, bo dzicy szanują głównie to, co robi łoskot. Piorun bez grzmotu nie przerażałby ludzi, choć niebezpieczną jest błyskawica, a nie jej odgłos.

W tej chwili pirogi posunęły się jeszcze bliżej ku naszemu statkowi, na który chmura strzał spadła.

— Do dyabła, to grad! — krzyknął Konsel, a może jeszcze zatruty!

Trzeba dać znać kapitanowi — rzekłem wchodząc do wnętrza.

Piorun kapitana Nemo.

W salonie nie było nikogo; pozwoliłem sobie zapukać do drzwi prowadzących do kapitana. Wyraz „proszę“ odpowiedział mi. Zastałem kapitana pogrążonego w jakimś rachunku.

— Czy przeszkadzam? — zapytałem grzecznie.

— Rzeczywiście, zajęty jestem, panie profesorze; ale zapewne ważne pobudki sprowadziły tu pana.

— Bardzo ważne. Łodzie krajowców otoczyły nas i zapewne za kilka minut najdzie nas kilkuset tych napastników.

— Aa! — rzekł spokojnie kapitan Nemo — to oni przybyli na swoich pirogach?

— Na pirogach.

— A więc trzeba zamknąć wejście.

— Ja też to chciałem powiedzieć.

— To bardzo łatwo — rzekł kapitan i nacisnął guzik elektryczny, mający ponieść rozkaz odpowiedni.

— To już i zrobiło się — rzekł po kilku chwilach. Nasza łódź jest w miejscu właściwem, a okna zamknięte. Przecież się pan nie obawiasz, aby dzicy rozwalili ściany, którym nie mogły dać rady kule waszej fregaty.

— Tego się nie obawiam, kapitanie; ale jest inne niebezpieczeństwo.

— A jakie, panie Aronnax?

— Jutro o tej samej godzinie trzeba będzie otworzyć okna dla odświeżenia powietrza w „Nautilusie“.

— Ani słowa, skoro nasz statek oddycha jak ryba

— Więc jeśli wówczas Papuanie będą na platformie, to nie wiem, jak pan wzbronisz im wejścia.

— To pan przypuszczasz, że wejdą na statek?

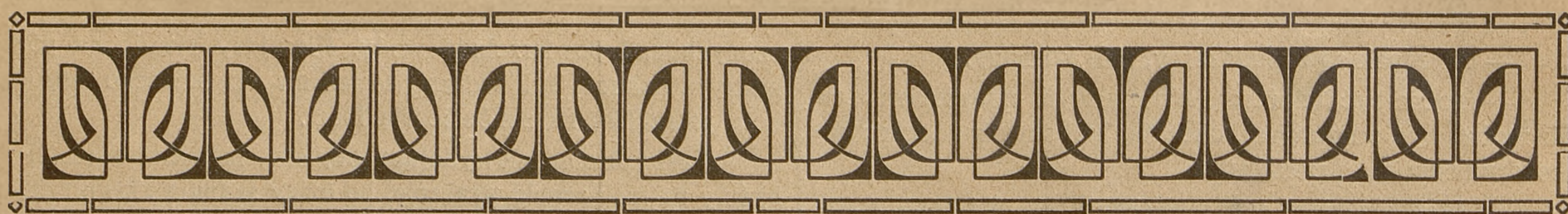
— Pewny jestem tego.

— A więc niech wejdą, na co im przeszkadzać. W gruncie są to biedacy ci Papuanie! i nie chcę, żeby moje nawiedzenie wyspy przyprawiło choć jednego z nich o stratę życia.

Powiedziawszy co miałem do powiedzenia, chciałem odejść; ale kapitan zatrzymał mnie i zaprosił, bym usiadł przy nim. Rozpytywał się o naszą na wyspę wycieczkę, o nasze polowanie i nie okazywał tej potrzeby świeżego mięsa, jaka dokuczała Kanadyjczykowi. Rozmowa dotyczyła różnych przedmiotów, i choć kapitan nie pozbył się swej tajemniczości, jednak uprzejmiejszy był niż zwykle.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

35)

(Ciąg dalszy).

— Ja mam niemal doskonałość szczęścia ziemskiego — dodała do siebie z mocnem postanowieniem krzepienia się na duchu, gdyby przyszły jeszcze doświadczenia jakie, a choć zakończyła długie dumania swoje żartem wesołym, że będzie słuchać rady Dąbrosi i nie mizernieć nigdy, bo mizerne panny brzydną i starzeją się prędko, a ona potrzebuje być w oczach Jana zawsze piękną i młodą, kryło się pod tym humorem wesołym pewne uczucie seryo. — Jan nie zobaczy więcej mojej twarzy bladej — rzekła przyciskając serce rękami — nie zobaczy nigdy oczu, łzy wylane zdradzających.... Jeżeli zesłabnę jeszcze kiedy, to skryje się wtedy przed nim i ukażę się dopiero, gdy odzyskana siła ślady słabości zetrze....

Przyrzekła to sobie i dotrzymała obietnicy, bo przyrzeczenie dane szczerze duchowi własnemu nie jest małoznaczną rzeczą w rozwoju istoty naszej. Wola własna pragnąca działać nieobłudnie, urabia nas w kierunku pewnym stokroć lepiej, niż okoliczności zewnętrzne, choćby naciskające najmocniej i najsilniejsze uczucie, przez działanie tej woli w karb pewny ujęte, dziwnie jej się posłusznem staje. Zastanawiamy się sami, jaką to potęgę wielmożną nosimy w sobie, zastanawiamy się nad tryumfem nieznanej nam siły ducha naszego i postępujemy za jego rozkazem coraz uleglej, spokojniej, przywykamy niejako do posłuszeństwa i zżywamy się z niem łagodnie. Taką to drogą dochodzi się do równowagi, do harmonii wewnętrznej i Felisia tak ją zdobyła sobie. Zaczęła ją oblekać zwolna pogoda ducha coraz czystsza, jaśniejsza, coraz mniej zamąceniu podległa, zaczęła się w niej stawać spokojność coraz głębsza, która musiała oddziałać nawet na jej zewnętrzność, na urodę, wchodzącą znowu w pewne przeobrażenie inne. Dostała coś uroku spokojnego, jaki zdobi młode matrony, szczęśliwe narzeczone, te istoty w ogóle, które już dobiły do przystani cichej i jeżeli dawniej był śliczny rozkwit, teraz następowało niewymownie piękne dojrzewanie jej istoty.

To też doświadczenia nawet zdawały się ją szanować i omijać, albo raczej ona tak się podniosła na jakąś wyżynę wzniosłą, że wypadki przechodziły dołem, nie dotykając nawet kraju jej sukni. A mogły, mogły bardzo porwać ją w wir wzruszeń bolesnych i sercem jej miotać, bo były tej natury, że łatwo tak się stać mogło. Raz na lato — na drugie lato jej próby — przyjechała do Kamiennej Woli cioteczna siostrzenica pana Piotra, córka owej swatanej mu niegdyś siostry Anieli; panna bardzo ładna, miła, ukształcona i tak bogata, jak była niegdyś jej matka, której imię nosiła. Zanadto szybko wyrosła i zaczęła wyglądać trochę wątło jak roślinka zbujana, rodzice więc wysłali ją do krewnych na wieś, ludzie przecież dopatrzyli się w tem ukartowanego planu, i wieść rozeszła się szeroko, że to jest ułożone między familią małżeństwo dla Jana. Że małżeństwo to byłoby wcale dobrem, że miałoby za sobą wszystkie wymagalne warunki, nie było wątpliwości. Nawet pokrewieństwo było już tak dalekie, że dyspensy nie trzeba było w Rzymie szukać i nietylko p. Paweł ze Smardzewa kilka razy powiedział Janowi na ucho, że będąc na jego miejscu uderzyłby do panny Anieli. I p. Piotrowi trochę to przychodziło do głowy i raz po raz powiedział swej Benisi, że nie byłby wcale od tego, gdyby ten Jaś kochany uczuł inklinacyą i ożenił się z Anielką. I matka, i Jadwiga nawet, byłyby bardzo rade temu, bo kuzynka warszawska była miłem, dobrem dziewczęciem, które prędko stało się jak gdyby młodszą córką w domu. Ludzie też utrzymywali, już jak na pewno, że niedługo usłyszą zapowiedzie, zaczęto nawet prześladować tem Jana, który ze względu na Felisię zląkł się i zaniepokoił. Ale nie zobaczył „bladej twarzy“, nie zobaczył żadnego śladu tajonego cierpienia. Błękitne oczy spotkały go zawsze jednakowo: spokojnem, słodkiem, łagodnie tkliwem spojrzeniem, aż serce Jana nie mogło się w zupełności utrzymać pod surowym rządem kamiennej woli i trochę zgrzeszyło przeciw przyjętemu postanowieniu. Felisia codzień prawie w czasie ciepłej pory wychodziła z Fruzią na jakiś spacer dalszy niż do ogrodu, najczęściej szła do ojca, to jest do pracujących ludzi w pole, Jan przecież nie korzystał nigdy umyślnie z wiadomości o tem i wierny przyrzeczeniu swemu unikał nawet spotkania, które mogło było być łatwem. Ale raz — trzeba nam się przyznać do tego — raz wyłamał się z pod tej reguły: czatował, myszkował, aż Fruzia, idąca z siostrą do rozpoczętego świeżo żniwa pszenicy, wykrzyknęła naraz radośnie, że na dróżce pod lasem pana Kamieńskiego na kasztanku widzi, i tak zaczęła co prędzej białą chustką powiewać, że naturalnie jeździec musiał konia zwrócić i paniom się przedstawić. Kasztanek był łaskawy, Jan więc poklepał go po szyi i wolno puścił, wiedząc, że do domu spokojnie wróci, a on szedł koło Felisi i szukał oczyma jej oczu, patrzył w nie, pragnął się w nich przejrzyć, spojrzenia ich chciał dostać nie jak ten, co stanowił niegdyś surowo, że miłość bijąca w jego piersi musi żyć bez żadnych oznak zewnętrznych, bez żadnego dla swych wzruszeń wyrazu. Rozmawiano przytem przecież o życie i pszenicy, o deszczu i pogodzie, aż rozmowa urwała się nagle. Fruzia pobiegła w zboże za konikiem polnym, a Jan zatrzymał się nagle.

— Panno Felikso — rzekł głosem, który drżał — panno Felikso...

— Co?... odpowiedział mu głos, a raczej głosik, który też był równie wzruszony, był aż przyciszony przez to wzruszenie.

— Panno Felikso...

— Co?

Nie śmiał jej zapytać: — Czyż ty spokojna? ale oczy jego, które teraz już się spotykały z jej spojrzeniem, błagały ją, aby zrozumiała o co mu chodzi. Patrzyły na nią

i mówiły: — O ufaj ty mi zawsze, nie lękaj się nigdy zmiany, zawodu, boś ty mi droga przez uczucie, które się nigdy zmniejszyć nie może, tyś mi najdroższa nad wszystko na świecie. Czy wierzysz temu?...

— Wierzę... odpowiedziały oczy Felisi i przysłoniły się nagle łzami. Kto wie czy biedne serduszko nie drgnęło kiedy, jakim mimowolnym dreszczem niepokoju, trwogi lękliwej o skarb swój drogi, bo kilka perełek srebrnych stoczyło się cicho. On wziął jej rączkę i potrzymał chwilkę, a zdawało mu się, że czuje w niej uderzenie tego serca biednego.

— Jeszcze dwa lata — szepnął smutnie — dwa lata i trzy zimy — trzy zimy długie....

Ona stała przy nim cichutka. — Będę ci ufać niezachwianie przez całe dwa lata, będę ci ufać niewzruszenie przez całe trzy zimy — mówiły zapłakane jej oczy.

Fruzia nie złapała konika, ale przyniosła pęk bławatków; oni sobie wzięli od niej po kwiatku błękitnym i uśmiechnęli się do siebie. Dróżka, którą szli, rozdzielała się tutaj.

— Do zobaczenia — rzekli sobie spokojnym, łagodnym głosem — do zobaczenia.

A tej zaraz zimy on znowu mógł się uczuć niespokojnym, a nawet zazdrosnym. Była w okolicy wioska małoletnich, od lat wielu puszczana dzierżawą. Teraz młody dziedzic chowający się u krewnych aż w krakowskiem, przybył i objął gospodarstwo na siebie. Był młody, przystojny, wykształcony, a przy tem wszystkiem był szlachetny i zacny sercem poczciwem. Z Janem wszedł prędko w stosunek bardzo dobry, ale niemniej wszedł w taki sam stosunek z domem Oktabowiczów. Dla niego nie byli to nawet dorobkiewicze, zastawał ich osiedlonych w starym dworze szlacheckim i nie zaraz się dowiedział historyi czasów minionych. Pierwej doszła go wieść o ochronce i szkole Felisi, którą ksiądz proboszcz wskazał młodemu dziedzicowi, jako wzór do naśladowania i przyjechał raz pierwszy, aby się temu wzorowi przyjrzeć z bliska, a przyjrzał się razem i Felisi, którą pokochał. Był młody i rządził sam sobą, więc prędko się z tą miłością swą wydał, zrobił ją jawną dla wszystkich i gdyby Felisia pojmowała panowanie nad sercem męskiem na sposób Wandy, mogła była przeprowadzić łatwo Jana przez torturę niespokojności. Ale nie chciała tego i ani przez chwilę jedną nie próbowała dowiedzieć się za pomocą tego środka, o ile jest kochaną? Z młodym panem umiała się tak obchodzić poważnie, choć przyjaźnie, tak mu jakoś postawiła się odrazu niedostępną dla uczuć pewnych, że rozżalony zrozumiał to prędko. Poskarżył się nawet biedak przed Janem. — Nie wiem, czy już spotkam na świecie drugą kobietę, którą bym mógł ukochać równie gorąco — rzekł mu raz smutnie — ale czuję, że jej serce nie dla mnie. Powiedziały mi to jej słodkie, spokojne, poważne oczy... O szczęśliwy! na kogo te oczy spojrzą inaczej...

Jan mu ścisnął rękę i musiał się mieć bardzo na baczności, aby prawda nie wyszła na wierzch. Musiał się pilnować podobnie, gdy wkrótce potem Oktabowicz wziął go za powiernika. Jak niegdyś Adam, tak teraz ten sąsiad drugi, zapowiadający jawnie konkurenta, nagle odstępował od swojej roli i usuwał się na stronę. Felisia już miała rok dwudziesty, tatunio też zaczął się nieco troskać, dla czego kawalerowie jego panny córki, tak jakoś cofali się w swoich afektach. Zaczął trochę podejrzywać prawdę, że ich Felisia zimną powagą odstrasza, więc też raz zapytał Jan skłopotany, czy przypadkiem i książka nie szkodzi, skoro jej za dużo? — Ja się panie kochany, boję, aby tak z moją dziewczyną nie było? rzekł skrobiąc się za uchem. — Dziecko wprawdzie do rany przyłożyć, ale trochę na zakonnicę patrzy. Na panów kawalerów bardzo nie łaskawa...

Jan się niesłychanie zmieszał i krew mu uderzyła do głowy; kłamać, kłamać przed ojcem ukochanej kobiety, przed stroną interesowaną, nie byłoż to właśnie intrygą, której się tak dumnie lękał? To też nie dał p. Jackowi przyjść do słowa i żywo, z niezwykłą sobie wymową zaczął dowodzić, że książka dobra nigdy szkodą być nie może. Przerwał w ten sposób dalsze zwierzenia Oktabowicza, na które się zanosiło, a ten zainteresował się widać wielce usłyszaną obroną książki, bo w Jana jak w tuza patrzył. Kiedy po tej rozmowie poufnej do domu wrócił, najpierw Felisi trochę szyderczo w oczy zajrzał i po ramieniu poklepał, potem rzekł wieczorem do swojej imości. — Zwąchałem dziś jedno bardzo ważne pismo nosem...

Pan Jacek doszedł prawdy, a przynajmniej wpadł na jej trop główny.

— Kochają się panie... rzekł sobie, od Jana do domu wracając, a choć jechał na niedużej i wcale pospolitej kobyłce siwej, czuł się tak sam z siebie kontent, jak gdyby go ktoś na sto koni wsadził. Mimo całej prostoty swojej, Oktabowicz miał tę wrodzoną żywość inteligencyi, a może i coś z tej wyższości duchowej, która odziedziczona po nim tak się szlachetnie rozwijała w córce, zdolny był zatem zrozumieć dostojność charakteru Jana i tą delikatną jego dumę, przez którą miłość swoją dla córki Oktabowicza do czasu taił. — Kochają się panie i jak trusie cicho siedzą... powtarzał sobie szczęśliwy nad wyraz z odkrycia i razem dumny z przebiegłości, która mu je z nagłego rumieńca Jana wywieść pozwoliła. Było to już niemal w rok po przedłużonej mu podług klauzuli kontraktu na drugie trzy lata dzierżawie Kamienia, w interesach więc nie mogła wypaść z tego różnica żadna i p. Jacek powtórzył tylko wesoło słowa niedawno przez Jana powiedziane: — Jeszcze dwa lata!... Za dwa lata on wprawdzie miał się z Kamienia wynosić, ale dziecko jego zostawało tam panią i dziedziczką w starym dworze białym, miało siadać w ławce kolatorskiej pod obrazami kasztelanów i wojewodów, miało być matką rodu, który się z tych kasztelanów i wojewodów wywodził!... — Moja Felisia panie kochany, wszystko to potrafi... mówił sobie razem dumny i rozrzewniony i była to piękna chwila w życiu Jacka Oktabowicza. Mieć jakiś własny kawałek ziemi, którą w prostocie swojej gorącem jednak sercem kochał, mieć jej choć zagon jeden, czuć się na nim obywatelem i posiadaczem!... było to od dni jego dzieciństwa snem i marzeniem najpiękniejszem, które teraz stawało przed nim rzeczywistością ziszczoną, i w jakiż jeszcze sposób? Jechał właśnie drogą przecinającą grunta kamieńskie na dwie niemal równe połowy i przystanąwszy na podnoszącym się nieco po nad ogólny poziom wzgórku, mógł całą tę szeroką przestrzeń ziemi oglądać, mógł ogarnąć wzrokiem całe te łany orne i widzieć przed sobą w dali wieś, dwór i kościół z wieżą starą. Czyż nie było to dla niego momentem życia podobnym do chwili owej gdy przed wzrokiem Mojżesza otwierał się bogaty krajobraz ziemi obiecanej? Dzieci jego dzieci miały tu żyć, działać, rządzić, być gospodarzami na zagonach własnych i przejmować je potem swego czoła, aby rodziły plon, który zebrać zapragną. Łzy błysnęły w oczach Jacka Oktabowicaz a pierś podniosła się dumą, która wyraziście odbiła się na twarzy rozpromienionej. — One, panie kochany, — zawołał — one, wnuki moje, nie będą marnować i trwonić ojcowizny starej, bo doleje im się w żyły świeża kropla krwi tego dziada, który ciężko pracować umiał i zapracować coś potrafił. Felisia je tego nauczy, Felisia będzie im powiadać o ojcu swym Oktabowiczu, który w grubych bu-

tach twardo po ziemi chodzić musiał i w szaraczkowej kapocie się nosił, ale żył panie kochany, poczciwie, czysto i nigdy na spowiedzi Świętej księdzu nie powiedział, aby mu się cudzy grosz do ręki przylepił. Nie... panie... nie! Felisia powie dzieciom swoim, że ich dziadek dorobkiewicz był jednak uczciwym człowiekiem, takim zgoła jak ci, co najpierw na polance w dębniaku chatę sobie zbudowali, a potem biały dwór wznieśli i kościół cudownej Matce Boskiej postawili. Niech im panie, opowiada przytem pięknie i o tych innych, niech w ławce kolatorskiej na kolanach je sobie posadziwszy, na ścianie pokazuje owych z wylotami, w pasach, z prawą ręką u lewego boku i niech im panie, powie: ci rycerze i senatory, to pradziady tatunia waszego...

Siwa kobyłka pana Jacka patrząc też przedsiebie, dojrzała przypuszczalnie między drzewami kamińskiego sadu stajnią ze żłobem pełnym owsa, z drabkami pełnemi siana, bo mu się tak kręcić zaczęła, że ją pogłaskał i stępa na przód ruszył. — Zwąchałem pismo nosem — zakończył wesoło monolog długi, a po pewnej chwilce dodał: — Ten utracyusz z Chmielnika lada dzień wyleci. Jeżeli mu Pan Bóg fortuny z nieba nie spuści w jakim fartuszku kobiecym, to przez te dwa lata zrujnuje się do reszty i ani chybi z torbami wyjdzie. Kupiłbym tedy Chmielnik dla Michałka i mieszkałby sobie z siostrą w sąsiedztwie...

Popędził trochę kobyłki, a dojeżdżając do domu uczuł, że dobry humor sprowadził mu apetyt ogromny, to też zaraz z proga na swoją imość zawołał o jajecznicę ze szwedami.

— Niech tego będzie rynka cała — dodał rezolutnie a gdy Felisia przyszła tatunia przywitać, tak jej najpierw w twarz spojrzał, że aż się zaczerwieniła czegos, a potem zlekka za ucho pokręcił, a na koniec po ramieniu poklepał. — Moja panna córka pięknie mi bardzo wygląda — rzekł śmiejąc się do niej — tylko jakoś kawalerów nic niema i chyba ja się zabrać do tego muszę, aby swaty sprowadzić.

— O tatuniu — zawołała Felisia przestraszona — tatuniu!...

On jej się śmiał w oczy: — Każno asanna dać mi tymczasem chleba z serem, bo mi się w brzuchu zwija — rzekł i powtórnie poklepawszy ją po ramieniu, jakgdyby błogosławiącą rękę na głowie położył i ze słodkiem uczuciem serdecznego wzruszenia delikatnie przycisnął.

Każdy dorobkiewicz musi być do pewnego stopnia dyplomatą i politykiem, bo inaczej dorobkiewiczem by nie został, nie zwyciężył w tej walce ze światem, którą koniecznie przechodzić musi ten, co się z dołu pod górę wspina i miejsce tam sobie wyrabia. Oktabowicz był też potrochu dyplomatą i politykiem: umiał zmilczeć gdzie potrzeba, umiał wrażeń swoich nie pokazać i wzruszenia na wodzy trzymać. Nie wołaj hop! aż przeskoczysz — było zasadą jego filozofii praktycznej, której się wiernie trzymał i obecnie z domysłu powziętego nic mu też więcej na usta nie wyszło nad to, co imości swojej w pierwszej chwili powiedział, a Felisię żartem tylko swatami nastraszył, gdyż wyniosłą dumę Jana ocenić umiał i instynktem delikatności wrodzonej uczuł, że mu się jej urażać nie godziło. Więc tylko swoją pannę córkę goręcej jeszcze kochać się zdawał i nieraz żonie ze wzruszeniem powiedział, że się doczekali z dzieci pociechy, bo i Michałek wybornie się uczył, i tak jak Felisia zapowiadał piękny rozwój szlachetnego ducha. Zatem życie tego gronka ludzi, którzy opowieścią tą objęci zostali, upływało cicho w spokojności coraz lepszej i piękniejszej, bo z marzeniem szczęścia coraz ziszczenia bliższem, wśród pracy dobrej a niejałowej, gdyż zbliżającej osięgnięcie owego szczęścia, dokonanie. zobowiązania, na powinność przyjętego. Mijały dnie, tygodnie, mięsiące, bywały słoty i pogody, czyli zmiany blasków i cieni, niemniej przecież ludzie się trzymali szczęśliwi gruntu swego i nikt nie chorował, nie słabł, nie umierał, a Jan dążący tymczasem do celu swego, wiedział aż nadto dobrze komu to winien, że tak być mogło. Czuł, że nietylko wierna w uczuciu swojem, ale szlachetnie, tkliwie, nie samolubnie kochająca kobieta mogła mu jedynie zapewnić takie życie ciszy i spokoju: oszczędzić targań serdecznych, burzy uczuć roznamiętnionych, któreby zmięszały prędko harmonią wewnętrzną, koniecznie mu jednak potrzebną, aby bez niebezpiecznego sił rozdwojenia mógł utrzymać się zawsze przy przedsięwzięciu swojem — przy tej woli kamiennej, która mu była nie mniej przy końcu, jak przy początku dzieła jego potrzebną.

Bo niewątpliwie musiała to być wola jak głaz twarda, nieugięta, nieustępująca nietylko pod silnym młotem tego nieszczęścia, które ruiną rodzinnego gniazda w serce mu uderzyło, ale równie wytrwała na to drobne a ciągłe działanie trosk, trudów, prac codziennych, co jak krople nieustannie sączącej się wody, na hart jego ducha spadały. Czytelnik mógł widzieć w dziele Jana tylko powierzchnię jego wygładzoną i może wydało mu się nieraz, że owa kamienna jego wola nie miała na czem kamienności swej dowieść, nie znalazła dość sposobności do tego, dość pola do wykazania mocy takiej, którąby ją do bohaterstwa nie tylko romansowego podnosiła. Ale bohaterstwo choć z najszlachetniejszych sił ludzkiego ducha wykwita, może mniej takiej woli potrzebuje, któraby się kamienną nazwać mogła. Stać niezachwianie przez lata długie na posterunku obowiązku zwyczajnego, w zwyczajnej pracy nigdy rąk nie opuścić, od celu nigdy się nie odwrócić, drogi do niego nigdy z oczu nie stracić, nie dać się porwać złym przykładom, modzie ogólnej, zwyczajom rozpowszechnionym, o! jest to egzamin hartowności ducha lepiej złożony, niż gdyby się jeden skok Decyuszowy w przepaść zrobiło... To też w takiej to szkole jedynie siła ludzka do najwyższości swojej dorastać może i człowiek z niej wyszły na takiego olbrzyma wychodzi, że już potem czy z wilkiem i niedźwiedziem naszych lasów, jak Wyrwidąb i Waligóra, czy ze skrzydlatym smokiem skały greckiej, jak Herkules, na pazury, na szpony pójść może. Pan Jacek Oktabowicz umiałby w tym przedmiocie wielce ciekawą przypowieść opowiedzieć, że ktoby się na to obrał, aby cielę od jego maleńkości co dzień do góry podnosił, podniósłby potem jak nic wołu starego. Trzeba przecież na rzecz taką nigdy o codziennem dźwignięciu ciężaru swego niezapominać, nigdy tego założenia swego nie lekceważyć i na jutro trudu jego nie odkładać, myślą od niego na dzień jeden nie odbiedz, chęcią gdzieindziej się nie zwrócić — trzeba tej woli mocnej, któraby była wolą kamienną!...

Jan też nic nad to większego nie zrobił, tylko z dnia na dzień o zadaniu swem pamiętał i potrzebny dział pracy odrobił — cielca dźwignął i potem spokojnie na ziemi postawił, aby go jutro dźwignąć znowu. Nie przechodził nawet klęsk nadzwyczajnych, w którychby się na pokaz zadziwionym ludziom hart jego ducha ciśnięciu ciężkiego losu opierał. Nigdy mu naprzykład w roku mokrym zboże na pniu nie porosło, a w gorącym nigdy się na polu nie osiało, bo zawsze ze żniwem pośpieszyć się umiał; nigdy mu Kamionka siana nie zabrała, bo groblę usypał i rowy na łąkach pobił. Rodziło mu i plonowało na dobrze uprawnej roli; woda zabezpieczonych od niej przedmiotów nie brała, wiatr mocnych budynków nie wywracał, ogień mściwą ręką podłożony zbiorów mu nie palił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.